

wprost

NR 3 (155) CENA 10 ZŁ (W TYM 8% VAT)
16 stycznia 2023 ISSN 0209-1747



Na początek



Jakub Mielnik

Wagnerowcy kontra rosyjska armia

Rosyjskie ministerstwo obrony próbuje wzmocnić kontrolę nad frontem po tym, jak najemnicy Wagnera pokazali, że są zdolni osiągnąć to, z czym nie radzi sobie regularna armia. W krwawych walkach o Sołedar wagnerowcy

Na początek

stracili 1/3 żołnierzy i teraz domagają się od armii uznania wyższości ich strategii.

Ostrożne szacunki zachodnie mówią, że w tej bitwie najemnicy Wagnera stracili około 15 tys. ludzi. Wagnerowskie kanały na Telegramie twierdzą wręcz, że najemnicy potrzebują 25 do 30 tys. żołnierzy, żeby uzupełnić straty poniesione w czasie pół roku szturmów na pozycje ukraińskie na Donbasie.

Ta ofiara krwi, złożona w imię zdobycia mało znaczącego miasteczka, okazuje się niezbędnym elementem wewnętrznej **WALKI O WPŁYW NA PRZEBIEG WOJNY** *toczącej się na zapleczu Kremla.*

Biorą w niej udział: z jednej strony twórca wagnerowców – Jewgienij Prigożyn, wspierany przez czeńskiego watażkę Ramzana Kadyrowa, a z drugiej minister obrony Rosji Siergiej Szojgu i generalicja, reprezentująca regularne siły zbrojne rosyjskiej federacji.

Na początek

Najnowsza odsłona tych zmagania dokonała się tuż po ogłoszeniu przez Prigożyną sukcesu w Sołedarze, gdy minister Szojgu ogłosił kolejne przetasowania na najwyższych szczeblach dowodzenia wojną na Ukrainie. Ich celem jest poddanie ściślejszej kontroli resortu tzw. operacji specjalnej, jak nazywają wojnę kremlowscy propagandyści. Jest to szczególnie istotne w sytuacji, gdy nieregularne formacje najemnicze, jak wagnerowcy, zaczynają przejmować inicjatywę z rąk nieudolnych zawodowych wojskowych.

Zdobycie przez Rosjan Sołedaru może wydawać się pyrrusowym zwycięstwem, okupionym gigantycznymi stratami. Jednak z punktu widzenia interesów Kremla Prigożyn i jego armia kryminalistów dokonała czegoś, do czego niezdolni byli generałowie, podlegli Siergiejowi Szojgu: Moskwa po raz pierwszy od pół roku może nasycić swoją propagandę przekazem o sukcesie na froncie. Jakim kosztem się to odbyło, nie ma większego znaczenia. Ważne, że Prigożyn i jego najemnicy dowieźli w końcu jakiś sukces.

Na początek

Wcześniej zadbali też o wykreowanie popularnego wśród wojowniczych nacjonalistów rosyjskich przekonania, że Sołedar zdobyty został tak naprawdę wbrew nieudolnym generałom, dowodzącym zdemo-ralizowaną armią.

Najemnicy Wagnera przez wiele miesięcy prowadzili publiczną kampanię **LŻE-NIA ROSYJSKIEJ GENERALICJI.**

Zarzucano im wręcz sabotaż, polegający na omyłkowym ostrzeliwaniu pozycji najemników albo na odmawianiu wsparcia artyleryjskiego czy dostaw amunicji.

Kierujących wojną na Ukrainie generałów, takich jak szef sztabu generalnego Gierasimow, wagnerowcy nazywali pidor, co w żargonie kryminalistów jest wulgarnym określeniem kogoś, kto świadczy usługi seksualne współwięźniom.

Dziś wagnerowcy mogą śmiało powiedzieć, że Sołedar wpadł w ręce rosyjskie na przekór wysił-

Na początek

kom owych pidorów, dzięki ich osobistemu męstwu i poświęceniu. Rozmiary tego sukcesu wzmacnia w swoich publicznych wypowiedziach sam Prigożyn, chwając heroiczną postawę armii ukraińskiej, co dotąd nie zdarzało się rosyjskim dowódcom.

Dla Siergieja Szojgu, który jako szef resortu obrony odpowiada przed Putinem za efekty całej wojny, taka sytuacja to poważne zagrożenie. Okazuje się bowiem, że są w Rosji ludzie skuteczniejsi od jego generałów, zdolni dostarczyć wyniki bez względu na koszty.

W obliczu rzezi, jaką zafundowali sobie wagnerowcy żeby zająć Sołedar, sprytny ruch dowodzącego armią rosyjską na Ukrainie generała Surowikina (który wycofał swoje oddziały z Chersonia na drugi brzeg Dniepru, by uniknąć ich zniszczenia) wyrasta wręcz na zdradę. Nic dziwnego, że w dzień po ogłoszeniu przez wagnerowców zajęcia centrum zrujnowanego i opustoszałego Sołodaru, Szojgu odwołał Surowikina ze stanowiska, powołu-

Na początek

jąc na jego miejsce generała Gierasimowa – głównodowodzącego armią federacji. Wygląda na to, że ministerstwo obrony i generalicja zajmują pozycje do frontalnego starcia z Prigożynem i jego najemnikami. Nie chodzi o wojnę domową, choć znane są przecież przypadki starć i wzajemnego ostrzału między wagnerowcami a wojskami regularnej armii, ale o polityczne targi o to, kto będzie decydować o strategii na wojnie.

Prigożyn **WYRĄBAŁ SOBIE PRAWO DO UDZIAŁU W TEJ DYSKUSJI** *posyłając na śmierć jedną trzecią swoich najemników by zająć ruiny górniczego miasteczka na Donbasie.*

Jak łatwo mu to przyszło, zaświadcza słynne już nagranie, na którym szef grupy Wagnera wizytuje kostnicę, w której piętrzą się worki z poległymi najemnikami, kwitując makabryczny widok zdaniem: wasz kontrakt dobiegł końca.

Na początek

Wagnerowcy żądają teraz konkretnych rekompensat za swoje poświęcenie. Armia miałaby dostarczyć im do 30 tys. żołnierzy i zapewnić wyposażenie wystarczające do kontynuowania kampanii w krwawym stylu, znanym spod Sołedaru i Bachmutu. Pomysł zakłada sięgnięcie po Rosjan migających się dotąd od służby i stworzenie z nich karnych kompanii pod dowództwem grupy Wagnera, której zdolności rekrutowania nowych najemników są obecnie mocno ograniczone.

Kryminaliści zwercbowani jesienią zostali wybici pod Sołedarem i obecnie trudno znaleźć nowych chętnych na ich miejsce. Pozostaje więc sięgnięcie do poborowych regularnej armii, która niechętnie się przecież z nimi rozstaje. Za Prigożynem przemawia jednak obecnie sprawczość, symbolizowana przez przełamanie pasma klęsk rosyjskich i zdobycie Sołedaru.

Szojgu, Gierasimow i inni generałowie będą musieli jakoś przełknąć sytuację, w której najemnicy okazują się skuteczniejsi od regularnej armii. Na

Na początek

pewno jednak nie oddadzą wojskowych i politycznych wpływów łatwo, niezależnie od tego, jak wiele udało się wyrębać Prigożynowi.

Dla Ukraińców to pomyślna sytuacja: zajęte wewnętrznymi walkami o wpływy i władzę kremłowskie buldogi nie będą miały głowy do prowadzenia skutecznej wojny. 

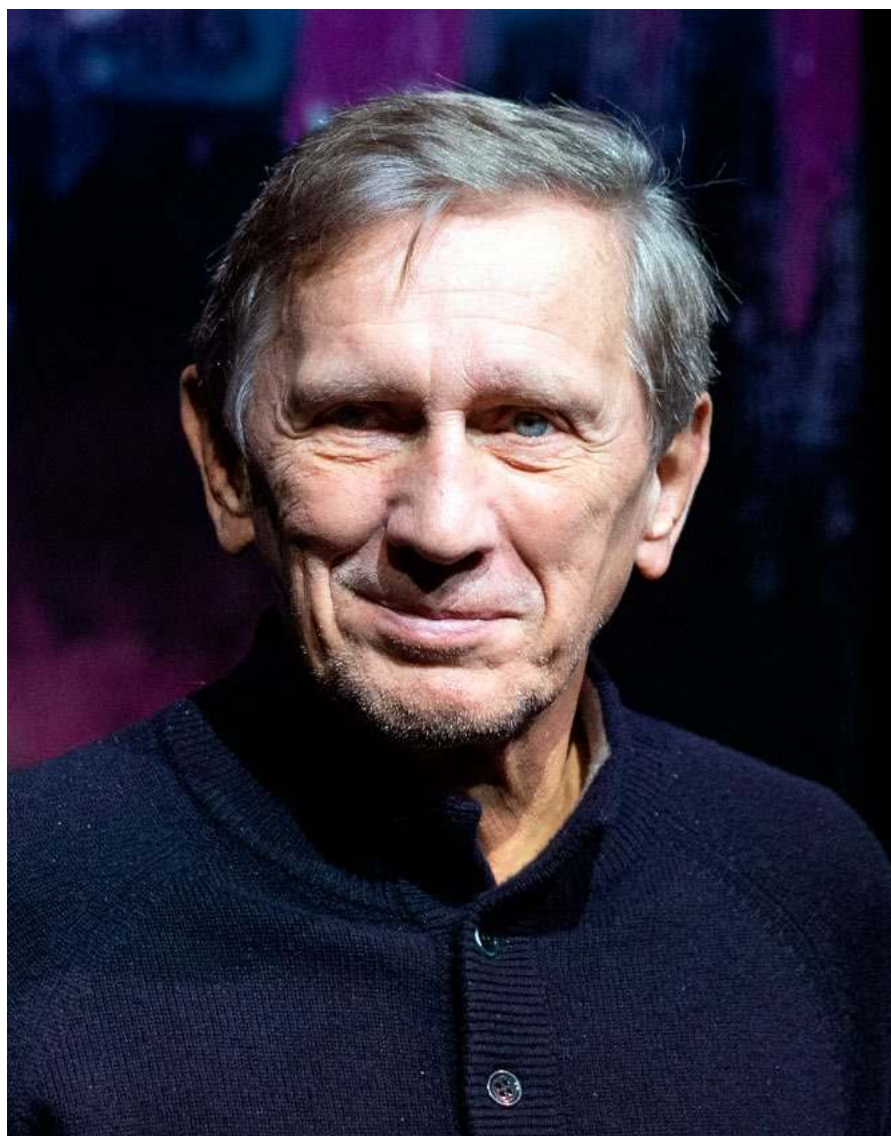


*Credo: Tylko prawda jest ciekawa,
piszemy o niej w p r o s t*



P. Kuczyński dla Wprost 2020r.

Czytaj Wprost



50

JUŻ NICZEGO SIĘ NIE WSTYDZIMY

– Polityka to jest wojna nie tylko o korzyści duchowe, ale również, a właściwie przede wszystkim – materialne, choć oczywiście pod hasłami duchowości, patriotyzmu i szlachetności – ocenia Jan Englert.

Fot. Jacek Domiński/REPORTER

KOLEJNE WYDANIE CYFROWEGO „WPROST” UKAŻE SIĘ W **NIEDZIELĘ O GODZ. 20.** SZUKAJ NA **WPROST.PL** ORAZ WE WSZYSTKICH **E-KIOSKACH** ORAZ APLIKACJACH MOBILNYCH **APP STORE** I **GOOGLE PLAY**

16 NIEDYSKRECJE PARLAMENTARNE

KRAJ

27 MŁODZI, ZDOLNI, (NIE)UWIKŁANI

Polska 2050 i PSL przymierzają się do budowy wyborczego bloku centrowego. Lecz Hołownia boi się utracić atut partii antysystemowej, a PSL jest zanurzone w systemie III RP.

Fot. PAP/Szymon Łabiński, Wojciech Olkuśnik/East News, PAP/Wojciech Pacewicz



36 KTO NIE CHCE PÓJŚĆ W KAMASZE

Rozporządzenie z 1993 r. określa, kto w przypadku mobilizacji mógłby uniknąć poboru do wojska. Wielu ubiega się o dopisanie do listy wyjątków.

FELIETON

45 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

SPOŁECZEŃSTWO

76 DIAGNOZY ZAMIAST POSTANOWIEŃ

Co może wyniknąć z tego, że zamiast snuć plany fundujemy sobie diagnozy psychiatryczne i psychologiczne – zastanawia się Paweł Drożdżiak, psycholog.



92 GRETA WSZECHMOGĄCA I RAJ BEZ TECHNOLOGII

– W proekologicznej narracji mamy do czynienia z religijnymi schematami, takimi jak raj, czyli świat bez przemysłu – mówi dr Karolina Królikowska, specjalistka ochrony przyrody.

ZAGRANICA

106 STACHANOWCY PROPAGANDY

Twarze propagandystów Putina są doskonale znane i nie mogą się oni wykpić od odpowiedzialności mówiąc, że tylko wykonywali rozkazy.

122 LEKARZE POD BOMBAMI

Szpital w piwnicy w Bachmucie, bombardowane porodówki w Mariupolu, Chersoniu czy Wilniańsku – medycy i lekarze próbują nie poddawać się do końca.



131 MOJE ŻYCIE SIĘ NIE SKOŃCZYŁO

Grażyna Aondo-Akaa i Kamil Moskal z krakowskiej fundacji „Klika”, ranni w ubiegłym tygodniu na Donbasie, są już w Polsce. Kamil jak najszybciej chce wrócić na wschód.



147 **KONIEC POLITYKI „ZERO COVID”**

Nowa polityka zakłada, że Chińczycy COVID przechorują. – To oznacza co najmniej milion ofiar – mówi dr Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich.

FELIETON

159 **GEN. WALDEMAR SKRZYPCZAK**

NAUKA TO POLSKA SPECJALNOŚĆ

165 **CYKL „WPROST” O POLSKIEJ NAUCE**

HISTORIA

220 **KREWN I URZĘDNI CY KRÓLA JAGIEŁŁY**

„Korona królów. Jagiellonowie” na ekranie, a u nas historyczna prawda o najważniejszych osobach z otoczenia władcy.



KULTURA

245 **NIE JESTEM AKTORKĄ BARDZO ROZPOZNAWALNĄ**

– Przyjaciele są dla mnie bardzo ważni, związki się rozpadają, poza tym mężczyźni wcześniej umierają – mówi Maria Maj, aktorka.

265 **MIEDZY TROLLEM A STAŃCZYKIEM**

Zmęczona nieustannymi wstrząsami Europa nie ma już siły na poważne analizy. Może dlatego

tak fetuje film „W trójkącie” Rubena Östlunda.

277 **WOJNA NA KWADRACIE**

Szachy to gra, która wciąga jak żadna inna. I ma historię długą, jak mało która. Kasper Bajon, pisarz i filmowiec, napisał o niej książkę – „Gambit orangutana”.

FELIETON

286 **ŁUKASZ ORBITOWSKI**

To nieprawda, że...

*Niedyskrecje
parlamentarne*

MIP2S

N

CM

B
z

V
P
N
U
z
S

C
B
S

To nieprawda, że...



To nieprawda, że...**Joanna Miziołek**

🐦@JMiziolek

**Eliza Olczyk**

*Dlaczego politycy PiS niechętnie występowali na konferencjach prasowych przed stacjami benzynowymi Orlenu? **Z JAKIEGO POWODU ZIOBRO PALI MOSTY NA PRAWICY?** W jaki sposób Morawiecki obłaskawił zakon PC? Jaki jest najcenniejszy wyrób jubilerski w tym sezonie? **O TYM I INNYCH SPRAWACH PISZEMY W „NIEDYSKRECJACH PARLAMENTARNYCH”.***

To nieprawda, że...

Politycy PiS podobno niechętnie występowali na konferencjach organizowanych przy stacjach benzynowych PKN Orlen w obronie prezesa tej firmy Daniela Obajtka. – W PiS panuje atmosfera zawiści o pieniądze. Wieloletni posłowie siedzą w Sejmie i zarabiają po kilkanaście tysięcy złotych, a nominaci w spółkach skarbu państwa zgarniają kokosy. Szeregowy polityk pracuje w regionie, zabiega o głosy wyborców i jeszcze musi bronić linii partii, ganiany po stacjach benzynowych – emocjonuje się nasz rozmówca. I opowiada, że do łez rozbawiła go konferencja Bartłomieja Wróblewskiego. Dokładnie w momencie, gdy poseł stwierdził, iż Polacy „powinni się cieszyć, że ceny po 1 stycznia nie wzrosły”, widoczna za jego plecami stawka za litr LPG podskoczyła o kilka groszy.

Zawiść w partii rządzącej ma dotyczyć nie tylko intratnych posad, ale i stanowisk rządowych. – Na przykład taki Marek Suski piekli się, że nie ma

To nieprawda, że...

funkcji rządowej, a Janusz Kowalski ma – mówi nasz rozmówca. Jego zdaniem, w klubie PiS panuje wściekłość na Zbigniewa Ziobrę. I nie chodzi tylko o KPO, ale również o działania prokuratury. – Są politycy opozycji, którzy usłyszeli od parlamentarzystów PiS-u, że wstyd im za Ziobrę, iż personalnie uderza w polityków opozycji, z którymi Zjednoczona Prawica chce współpracować przy niektórych projektach. W PiS mówią, że Ziobro pali mosty na prawicy – twierdzi jeden z polityków.

Politycy PiS mają pluć sobie w brodę, że dopuścili do tego, iż Solidarna Polska urosła w siłę. – Ziobryści zapewnili sobie dobre pozycje. Mają ludzi w spółkach skarbu państwa, a Jarosławowi Kaczyńskiemu trudno ich rozbić. Nie może zrobić u nich takiego manewru jak u Jarosława Gowina, bo oni są dużo bardziej skonsolidowani – opowiada nasz rozmówca.

Mateusz Morawiecki, tworząc radę doradców politycznych w marcu 2021 roku, zbliżył się do

To nieprawda, że...

zakonu PC i go obłaskawił. – Przecież tam oprócz Marka Kuchcińskiego, Henryka Kowalczyka lub Marka Suskiego są politycy zapomniani, niektórzy z trzeciego szeregu jak Witold Czarnecki. Oni co miesiąc spotykają się z premierem. I choć jest to grono doradcze, to częściej niż doradzaniem zajmuje się rozmową z Morawieckim na temat swoich spraw. A premier ich wysłuchuje i załatwia im potem inwestycje w ich regionie – budowę szkoły, szpitala itd. Morawiecki sprytnie zjednuje sobie tak zwany „stary PiS” – opowiada nasz informator.

Polityk opozycji, z którym rozmawiamy twierdzi, że sondaże, według których Polacy nie chcą Donalda Tuska na premiera, nie mają znaczenia. – Ci, którzy mają duże zaufanie społeczne, wcale nie wygrywają wyborów parlamentarnych – twierdzi polityk.

Sondaż dotyczący Tuska może jednak przeszkodzić w budowaniu szerokiej listy opozycyjnej. Adrian Zandberg, lider Partii Razem, stwierdził, że

To nieprawda, że...

Donald Tusk nie będzie premierem. – Między Zandbergiem i Czarzastym iskrzy. Włodek chce listy z Tuskiem, Adrian publicznie go krytykuje – opowiada polityk lewicy. I twierdzi, że to nie jedyny problem Włodzimierza Czarzastego. Przy okazji uchyla rąbka tajemnicy dotyczącej wewnętrznych badań ugrupowania. – Z sondaży Lewicy wynika, że tandem Czarzasty – Biedroń do siebie nie pasuje – mówi. Ale to nie koniec ciekawostek. Według naszego rozmówcy z wewnętrznych badań Lewicy wychodzi, że publikowane sondaże zawyżają jej poparcie i realnie może liczyć na 6-7 proc. – Elektorat lewicy zaczyna odpływać do Tuska – mówi polityk lewicy.

Niechęć do Tuska manifestuje nie tylko Adrian Zandberg. Również w Polsce 2050 lider PO nie ma dobrych notowań. Nasz rozmówca z opozycji zdradza, że podczas badań focusowych, przeprowadzanych wśród wyborców Szymona Hołowni, część ankietowanych podkreślała proniemieckość Tuska i nie stroniła od określenia „zdrajca”. Poza tym

To nieprawda, że...

z badań wynika, że jedna lista opozycji, którą forsuje Tusk, napędza wyborców Konfederacji. – Przy takim układzie Konfederacja średnio zdobywa 10 proc. głosów w wyborach, a w skrajnych sondażach nawet 14 proc. To jest katastrofa, bo w ten sposób hodujemy koalicjanta dla PiS – martwi się polityk opozycji.

W poprzednim tygodniu Sejm zajął się ustawą o Sądzie Najwyższym, która ma odblokować pieniądze z KPO dla Polski. Pod warunkiem – jak mówił minister ds. europejskich Szymon Szykowski vel Sęk – że niewiele w niej zostanie zmienione. Wiadomo, że ustawy nie chce poprzeć Solidarna Polska, zatem PiS szuka wsparcia u opozycji ale i tu może się zawieść. – Gdyby ta ustawa miała być procedowana w obecnym kształcie, to prawdopodobnie wstrzymamy się od głosu – mówił polityk Koalicji Polskiej, który jednocześnie przewidywał, że tak samo zachowa się Koalicja Obywatelska. – Tylko zachowanie posłów Lewicy nie jest pewne – mówił nasz rozmówca. A dlaczego opozycja nie miała ochoty poprzeć noweli usta-

To nieprawda, że...

wy o Sądzie Najwyższym? – Jest w niej problem konstytucyjny, ale przede wszystkim nie chcemy pomagać PiS przed wyborami – mówił szczerze nasz rozmówca.

W PiS z kolei można usłyszeć, że pieniądze z KPO, nawet jeżeli wreszcie zostaną odblokowane, to i tak nie mają szansy wypłynąć na gospodarkę czy kondycję budżetu, bo na to wszystko będzie za późno. – Ale sama zapowiedź, że Polska dostanie te pieniądze może poprawić nastroje inwestorów – przyznaje nasz rozmówca z PiS. Przy okazji wiemy, jakie żarciki związane z KPO powtarzają sobie eurodeputowani PiS. „Jaki jest najcenniejszy wyrób jubilerski w tym sezonie? Pierścionek z kamieniem milowym”. – Żartujemy też sobie, że wracając z Brukseli z dwoma walizkami w jednej mamy część KPO, a w drugiej kamień milowy – śmieje się nasz rozmówca.

Kampania wyborcza toczy się pełną parą, choć jeszcze nawet termin wyborów parlamentarnych nie został ogłoszony. Ale politycy jeżdżą w teren

To nieprawda, że...

i snują swoją narrację. Według naszego rozmówcy z opozycji, dotychczasowa kampania PiS jest wręcz perfekcyjna. – Oni cały czas przypominają ile dotychczas zrobili, jakie transfery socjalne poszły do ludzi, a w drugiej kolejności mówią: „nie wszystko nam wyszło, ale staraliśmy się i będziemy nadal to robić, jeżeli utrzymamy władzę na trzecią kadencję” – opowiada polityk opozycji. Jego zdaniem, ten przekaz jest bardzo skuteczny. – Tymczasem po stronie opozycji mamy głównie ślepe uliczki. Szumnie ogłaszane przez Tuska zimne mieszkania i kryzys węglowy – tego nie ma. A jeżeli PiS zdobędzie pieniądze z KPO, to narracja opozycji na ten temat również okaże się ślepą uliczką – martwi się polityk opozycji. 

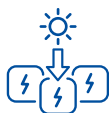


Wybieralscy wybierają ofertę Fotowoltaika+ dla domu i firmy!

Wybieraj i łącz produkty, by dzięki fotowoltaice i ekourządzeniom



wytwarzać



gromadzić



wykorzystywać

energię na własne potrzeby. Dom mądrze po(d)łączony to możliwość zysków dla całej rodziny. Podłącz się, łącz możliwości i korzystaj.

enea.pl/fotowoltaikaplus
infolinia: 611 111 111

MŁODZI, ZDOLNI, (NIE) UWIKŁANI



Fot. PAP/Szymon Łabiński, Wojciech Olkuśnik/East News

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

*Szymon Hołownia, lider Polski 2050 i Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL, przy-
mierzają się do budowy silnego bloku centro-
wego na nadchodzące wybory. Z niektórych
szacunków wynika, że taki projekt mógłby
zebrać 18-20 proc. głosów wyborców. – W po-
łowie stycznia już się powinna ta inicjatywa
krystalizować – mówi nam polityk Koalicji
Polskiej. Rzecz w tym, że **HOŁOWNIA BOI SIĘ
UTRACIĆ ATUT PARTII ANTYSYSTEMOWEJ,
A PSL JEST PO USZY ZANURZONE W SYSTE-
MIE III RP.***



Tekst: **Eliza Olczyk**

PSL i Polska 2050 Szymona Hołowni na pierwszy rzut oka wydają się być partiami wręcz skrojonymi pod wspólny start w wyborach. Są do siebie zbliżone pod względem programowym, a ich

elektoraty całkiem nieźle się uzupełniają. PSL ciągle ma swoich zwolenników w małych miasteczkach i na wsiach, choć PiS bardzo poważnie nadszarpięło im tę bazę wyborczą. Natomiast zapleczem Polski 2050 jest elektorat wielkomiejski.

Pisaliśmy już w „Niedyskrecjach parlamentarnych”, że na początku grudnia ubiegłego roku Hołownia powiedział do Kosiniaka-Kamysza – robimy wspólny blok wyborczy i tylko musimy uzgodnić kiedy to ogłosimy.

– Kosiniak-Kamysz był zadowolony, bo uważał, że to jest poważnie brany pod uwagę wariant. Chciałby tylko szybszych decyzji. Gdy ogłosimy wspólny projekt, to nawet ewentualne wspólne negocjacje z Tuskiem będą bardziej efektywne, niż gdyby każdy z osobna rozmawiał z liderem PO – mówi polityk Koalicji Polskiej.

Szymon, czyli przyszłość polskiej polityki

Każda z partii uważa, że to ona decydując się na budowę bloku centrowego, podaje pomocną dłoń drugiemu partnerowi.

W nieoficjalnych rozmowach z politykami PSL można usłyszeć, że ugrupowanie Szymona Hołowni najbardziej ze wszystkich partii opozycyjnych stoi na grząskim gruncie, bo 40 proc. jego wyborców nie akceptuje Tuska jako premiera, ale 60 proc. akceptuje.

– Dlatego Tusk wywiera presję na Hołownię, powtarzając, że

*Szymon jest przyszłością polskiej polityki, **POWINIEN ZAJMOWAĆ WAŻNĄ POZYCJĘ** i Tusk – niezależnie od wspólnej listy – to gwarantuje.*

Taka argumentacja może trafić do tych 60 proc. zwolenników Polski 2050 akceptujących lidera PO. A to oznacza, że Hołownia nie może być pewny ponad połowy elektoratu – tłumaczy nasz rozmówca z Koalicji Polskiej.

Z kolei w Polsce 2050 słyszymy, że Hołownia, proponując Kosiniakowi-Kamyszowi wspólny start w wy-

borach, ratuje PSL przed niebytem parlamentarnym, bo ta partia balansuje na progu wyborczym.

Ale najważniejsze jest to, co niewypowiedziane, czyli lęk Hołowni, który jest liderem partii antysystemowej przed związaniem się z partią zanurzoną w systemie III RP po uszy.

– My nie możemy stracić naszej antysystemowości. Nasi wyborcy pamiętają Polskę sprzed 2015 r. i nie chcą do niej wracać. A PSL przed 2015 r. było w wielu rządach – mówi nasz rozmówca z Polski 2050.

I dodaje: – Szymon i Władek to są czterdziestolatkowie, którzy pociągną za sobą młodą generację wyborców i mają atut świeżości. Kosiniak-Kamysz był w rządzie PO-PSL, ale jako szeregowy minister, bez wpływu na większość decyzji, zatem ten udział we władzy zbytnio go nie obciąża. Ale inni, np. Waldemar Pawlak? Co będzie, jeżeli komisja weryfikacyjna zacznie go ciągać na przesłuchania w sprawie kontraktów gazowych z Rosją? To wszystko może obciążyć później nas.

Stara gwardia źle widziana

W połowie grudnia Hołownia był gościem na konwencji PSL w Płocku. Wystąpił obok Kosiniaka-Kamysza. Miał to być test, jak elektoraty obu partii zareagują na nich dwóch razem. Podobno zareagowały dobrze. Ale być może dlatego, że za plecami Kosiniaka-Kamysza podczas tej konwencji, a później na wspólnych zdjęciach z Hołownią, nie było widać nikogo ze starej gwardii PSL.

Marek Sawicki, jeden z polityków starszej generacji Stronnictwa, przez lata jeden z jej liderów, pytany przez „Wprost” co sądzi o wspólnym starcie PSL i Polski 2050 w wyborach parlamentarnych, wydaje się być poirytowany. Odpowiada, że to nie jest w tej chwili najważniejsza sprawa.

– Co z tego, że Hołownia i Kosiniak-Kamysz rozmawiali na początku grudnia. Wtedy odbyła się też rozmowa z Donaldem Tuskiem, to **KTÓRA BYŁA WAŻNIEJSZA?** – pyta Sawicki.

I dodaje, że przecież nie wiadomo jaka będzie ordynacja wyborcza, zatem dopóki to nie stanie się jasne, nie będzie żadnych wiążących porozumień dotyczących formuły startu w wyborach.

Sawickiemu chodzi o projekt zmian, które przygotowało PiS w kodeksie wyborczym. Mają one charakter techniczny – chodzi w nich m.in. o większą liczbę lokali wyborczych, dowożenie ludzi starszych i niepełnosprawnych do urn i zmianę w sposobie liczenia głosów w komisjach. Sawicki uważa jednak, że nie ma żadnej gwarancji, iż PiS nie dopisze do tego projektu zmiany granic okręgów wyborczych albo wręcz zmianę polegającą na utworzeniu 100 okręgów wyborczych w miejsce obecnych 41.

Sen o trzecim bloku

Z kolei Paulina Henning-Kloska, wiceprzewodnicząca Polski 2050 uważa, że alians jej partii z PSL ma jeden duży plus – wyciągnie ludowców ponad próg wyborczy. – W sondażach ta partia czasami spada poniżej progu wyborczego, co jest ogromnym niebezpieczeń-

stwem i byłoby wielką stratą dla opozycji, gdyby ludowcy nie weszli do następnego parlamentu – mówi Henning-Kloska.

Zarazem jednak dodaje, że nie wszyscy wyborcy Polski 2050 akceptują wspólny start z PSL. – Pod koniec zimy trzeba będzie się przyjrzeć sondażom i wtedy podjąć decyzję. Wszystkie scenariusze wciąż leżą na stole, choć wspólna lista całej opozycji jest najmniej prawdopodobna – mówi wiceprzewodnicząca Polski 2050.

– Problem polega na tym, że Hołownia jest cały czas politycznym świeżakiem i nie wie, jak rozmawiać z działaczami terenowymi, którzy są niechętni jakemukolwiek porozumieniu przedwyborczemu. Najchętniej sami poszliby do wyborów, bo wtedy mają największe gwarancje zdobycia mandatów, a Szymon nie bardzo potrafi ich okiełznać – wzdycha jeden z polityków Koalicji Polskiej.

Ale kłopot jest też po drugiej stronie. Kosiniakowi-Kamyszowi nie będzie łatwo skłonić starą gwardię PSL, by odpuściła wybory parlamentarne w imię ko-

alicji z Polską 2050. Nie po to Waldemar Pawlak zostawał szefem Rady Naczelnej PSL, by teraz rezygnować ze startu w wyborach, tym bardziej, że jest to polityk zaledwie 63-letni. A PSL to bardzo demokratyczna partia – jeżeli zdecyduje, że Pawlak ma startować, to Kosiniak-Kamysz niewiele zdziała. 



FOT. PAPIKOWSKI

Ochotnicy z Legii Akademickiej KUL ćwiczą w terenie.

KTO NIE CHCE PÓJŚĆ W KAMASZE

*Dokument, z którego istnienia jeszcze niedawno nie wszyscy podlegający mu zdawali sobie sprawę, inni zaś traktowali jako ciekawostkę, stał się ostatnio przedmiotem żywego zainteresowania. Chodzi o rozporządzenie z 1993 r., które określa, **KTO W PRZYPADKU MOBILIZACJI I WOJNY MÓGŁBY UNIKNĄĆ POBORU DO WOJSKA**. Z ustaleń „Wprost” wynika, że o dopisanie do listy wyjątków ubiegają się m.in. członkowie PKW.*



Tekst: **Dariusz Grzędziński**

Do momentu inwazji Rosji na naszego wschodniego sąsiada, dokument sprzed trzech dekad nie budził właściwie żadnych emocji. Chodzi o Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 3 kwietnia 1993 r. w sprawie reklamowania osób od obowiązku pełnienia czynnej służby wojskowej w razie ogłoszenia mobilizacji i w czasie wojny.

Przekładając rzecz na bardziej przystępną polszczyznę – rozporządzenie zawierające listę stanowisk i instytucji, których pracownicy nie znajdą się w orbicie zainteresowań armii, gdy konflikt zbrojny na naszym terytorium stanie się realny. Wiosną 1993 r. taki scenariusz nie wydawał się zupełnie nierealistyczny, ostatnia bojowa jednostka wojsk radzieckich opuściła granice RP zaledwie pół roku wcześniej – pod koniec października 1992 r. W kolejnych latach widmo wojny, przynajmniej w teorii, mocno się oddaliło. Aż do nadejścia 24 lutego 2022 r.

Agresja putinowskiego reżimu na Ukrainę sprawiła, że o rozporządzeniu z 1993 r. przypomnieli sobie ci,

którzy są już w nim uwzględnieni oraz tacy, którzy 30 lat po przyjęciu dokumentu, poczuli się pominięci.

Nie dla nich służba

Lista osób objętych postępowaniem reklamacyjnym od obowiązku pełnienia czynnej służby wojskowej w razie ogłoszenia mobilizacji i w czasie wojny jest dość obszerna. Są na niej wysocy urzędnicy Kancelarii Sejmu i Senatu, wierzuszka KPRM, bliscy współpracownicy prezydenta, osoby z Rządowego Centrum Legislacji, sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, Trybunału Stanu i Sądu Najwyższego, urzędnicy z Najwyższej Izby Kontroli, Biura Rzecznika Praw Obywatelskich, dyrektorzy z IPN, wysocy rangą urzędnicy samorządowi, przedstawiciele służb, uczelni wyższych czy prezesi wybranych państwowych spółek.

Są też wskazania mniej oczywiste, m.in. dyrektorzy biur ministrów, ich doradcy i rzecznicy prasowi. O ew. pobór do armii nie muszą się też martwić funkcjonariusze Straży Marszałkowskiej i dyrektorzy z nieistniejących już Kas Chorych.

– Od dłuższego czasu daje się odczuć ożywienie i sam miałem kilka kontaktów od osób ujętych w rozporządzeniu, ale w praktyce niezainteresowanych wcześniej tym tematem. Teraz pojawiają się pytania o dokumenty do wypełnienia itd.

Nie jest też tajemnicą, że wiele nowych instytucji **MONITORUJE W MON MOŻLIWOŚĆ ROZSZERZENIA LISTY WYJĄTKÓW**

– mówi w rozmowie z „Wprost” zastrzegający sobie anonimowość wysoki rangą pracownik instytucji ujętej w rozporządzeniu.

Listy do ministra

Według naszych ustaleń, jedną z instytucji, która miałaby czynić starania o znalezienie się w zapisach rozporządzenia z 1993 r., jest Państwowa Komisja Wyborcza (PKW). Zwróciliśmy się z pytaniami w tej sprawie do Biura Prasowego Krajowego Biura Wyborczego i odpowiedź udzielona redakcji, potwierdziła nasze ustalenia.

„Szef Krajowego Biura Wyborczego dwukrotnie wystąpiła do Ministra Obrony Narodowej o uwzględnienie w szczegółowym wykazie stanowisk, których zajmowanie powoduje wyłączenie z urzędu od obowiązku pełnienia czynnej służby wojskowej w razie ogłoszenia mobilizacji i w czasie wojny, stanowiącym załącznik nr 1 projektu rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie wyłączenia od obowiązku pełnienia czynnej służby wojskowej w razie ogłoszenia mobilizacji i w czasie wojny, następujących stanowisk: Stałe organy wyborcze: członkowie Państwowej Komisji Wyborczej, komisarze wyborczy oraz Krajowe Biuro Wyborcze: dyrektorzy zespołów i delegatur Krajowego Biura Wyborczego, eksperci” – czytamy w odpowiedzi.

– Sama idea rozporządzenia jest oczywiście słuszna, bo pewne instytucje muszą w wypadku konfliktu zapewniać ciągłość funkcjonowania państwa i normalnie działające, są potrzebne do prowadzenia wojny. Dziś należałoby pochylić się nad tą listą nieobjętych mobilizacją i zastanowić się, kogo z niej wykreślić, a kogo być może dopisać – komentuje dla „Wprost”

przewodniczący sejmowej Komisji Obrony Narodowej, poseł PiS Michał Jach.

– Każdy przypadek należałoby rozważyć osobno: czy dana instytucja będzie funkcjonować w czasie wojny, jakie będą jej zadania – czy ograniczy się do podtrzymania istnienia, czy będzie miała jakieś zadania? Państwowa Komisja Wyborcza raczej nie przeprowadzi wyborów w czasie wojny – dodaje Jach.

Nieco inaczej ocenia sprawę zastępcy Jacha w komisji obrony, poseł Nowej Lewicy Marcin Kulasek. – Sprawa wskazuje na głębszy problem związany z systemem przeprowadzenia wyborów w Polsce. W poprzednim stanie prawnym członkami PKW i komisarzami wyborczymi byli sędziowie, którym przysługiwał szereg praw będących gwarancją niezawisłości sędziowskiej. Obecnie wiele funkcji w systemie organizacji wyborów pełnią prawnicy niebędący sędziami. Nie przysługuje im immunitet, nie podlegają lustracji, nie muszą składać oświadczeń majątkowych itp. Należy to uznać na niedopatrzenie Sejmu poprzedniej kadencji. PKW jest ważnym organem gwarantującym bez-

pieczeństwo wyborów. Należy ograniczać ryzyko zaistnienia sytuacji, w której członkowie PKW – szczególnie ci rekomendowani przez opozycję – nie będą mogli wykonywać swoich obowiązków, np. na skutek wezwania na ćwiczenia wojskowe. Sprawa statusu prawnego członków PKW i komisarzy wyborczych wymaga całościowego uregulowania – wylicza Kulasek.

Wiceprzewodniczący komisji obrony dodaje jednak, że MON negatywnie odniesie się do prośby. – Według moich nieoficjalnych informacji

MON ODPOWIEDZIAŁ NEGATYWNIE NA PISMO KBW *w sprawie wyłączenia wybranych urzędników z obowiązku pełnienia czynnej służby wojskowej – słyszemy.*

Z ustaleń „Wprost” wynika, że ostatnie tygodnie i miesiące to również wzmożona aktywność innych instytucji, sondujących możliwość zmiany zapisów rozporządzenia z 1993 r.

Zwróciliśmy się do Ministerstwa Obrony Narodowej z pytaniami o to, kto konkretnie pytał o możliwość uniknięcia mobilizacji i jaką otrzymał odpowiedź, ale do momentu publikacji tekstu resort obrony nie udzielił nam takiej informacji. 

**Tomasz P. Terlikowski**

Są jeszcze inni winni do ukarania

T jedna z tych spraw dotyczących nadużyć seksualnych, o których dowiedziałem się jako o jednej z pierwszych. Byłem wtedy dość młodym jeszcze dziennikarzem. Od jej początku do pierwszych aktów sprawiedliwości minęło prawie trzydzieści lat.

Dwadzieścia siedem lat temu osoby skrzywdzone po raz pierwszy zgłosiły się do biskupów szczecińskich. I co? I nic. Od tego momentu zwodzono ich, oszukiwano, traktowano jako oszustów.

Prokuratura umarzała postępowania, a sam ksiądz Andrzej Dymier, bo o nim mowa, został nawet dyrektorem szkoły. Sądy biskupie przedłużały sprawę, aż do momentu, gdy sprawca zmarł. A nawet potem odmówiono poinformowania skrzywdzonych o wyroku, jaki zapadł tuż przed śmiercią duchownego.

Teraz już wiadomo, że Stolica Apostolska uznała księdza Dymiera za winnego, ale nie wydalila go z kapłaństwo.

To skandaliczne, bo wiadomo, że duchowny ten niekiedy brutalnie gwałcił małoletnich chłopców. Ale nawet to nie skłoniło Kongregacji Nauki Wiary do jego wydalenia.

Ale żeby nie narzekać można powiedzieć, że stało się zadość przynajmniej zupełnie podstawowej sprawiedliwości, bo po latach kłamstw, przyznano, że ksiądz był winien. Jednak nawet ta informacja

Felieton

została przekazana w taki sposób, że nie widać w niej współczucia, empatii, została rzucona na odczep, jak ochłap, kompletnie wbrew słowom o empatii jaka należy się skrzywdzonym.

Nie jest to jednak koniec tej historii. Dlaczego? Bo na karę oczekują jeszcze wciąż żyjący (i sprawujący urząd) metropolici, którzy to wszystko tuszowali. Bo

*wciąż ukarać trzeba tych, którzy
w przedłużaniu sprawy uczestniczyli.
Bo **NADAL NIKT NIE PRZEPROSIŁ** za to,
co działało się przez wszystkie te lata.*

Bez ukarania arcybiskupa Andrzeja Dzięgi nie będzie choćby zupełnie podstawowej sprawiedliwości. A bez przeprosin skierowanych do skrzywdzonych przez metropolitę szczecińskiego (tego i – oby jak najszybciej – jego następcy), trudno będzie traktować poważnie zapewnienia, że Kościół w Polsce poważnie traktuje takie kwestie.

Warto sobie też uświadomić, że ta sprawa nigdy nie zostałaaby wyjaśniona, gdyby nie zaangażowanie kilkudziesięciu osób. Są takie, które nie chcą się ujawniać, ale także kilku innych, które znamy z imienia i nazwiska. To o. Marcin Mogielski OP, który zaczął tę historię ujawniać, to o. Tarsyciusz Krasucki OFM, to inne osoby skrzywdzone, które otwarcie o tym mówiły.

Ale to także dziennikarze, którzy przez lata tę zajmowali się tym tematem, poczynając od dziennikarzy z „Gazety Wyborczej”, którzy jako pierwsi go nagłośnili, a potem innych mediów. Ze szczególnym uwzględnieniem „Więzi” i Zbigniewa Nosowskiego, którego zasług nie da się przecenić w tej sprawie. Gdyby nie oni wiele by się nie zmieniło. O tym też nie wolno zapomnieć. 



wprost | LAT 40

2022

CZŁOWIEK
ROKU | WPROST

JUŻ
W STYCZNIU 2023

CZLOWIEKROKU.WPROST.PL

PATRON HONOROWY GALI



PARTNER GALI CZŁOWIEKA ROKU 2022
ORAZ JUBILEUSZU 40-LECIA WPROST



PARTNER GŁÓWNY GALI CZŁOWIEKA ROKU 2022



PARTNERZY GALI CZŁOWIEKA ROKU 2022



A close-up portrait of Andrzej Walicki, an older man with grey hair and a slight smile, wearing a dark blue sweater. The background is dark and out of focus.

JUŻ NICZEGO SIĘ NIE WSTYDZIMY

Fot. Jacek Domiński/REPORTER

Starcy tylko udają, że są pewni siebie. Krzyczą, że mają rację, żeby się nie wydało – mówi
JAN ENGLERT. – LĘK PRZED ŚMIERCIA JEST DLA MNIE RZECZĄ ABSTRAKCYJNĄ, PRZECIEŻ TO JEDYNY PEWNY KONTRAKT. *I zawsze przy tej okazji cytuję Fredrę, który napisał: „Nie strach umrzeć, strach umierać” – dodaje.*



Rozmawiała **Katarzyna Burzyńska-Sychowicz**

W grudniu w Teatrze Narodowym premierę miał „Mizantrop” Moliera w pana reżyserii. Jakie intencje panu towarzyszyły przy pracy nad nim?

Nie miałem żadnej intencji. Powołałam się na Witkacego, który uważał, że w przypadku teatru należy zadać sobie podstawowe pytania: „po co?”, „dla kogo?” i „jak?”. A więc: po co? Czasami po to, żeby zobaczyć coś lub usłyszeć – po prostu. Albo żeby sobie przypomnieć. Nie trzeba być od razu i koniecznie przeciwko

Społeczeństwo

komuś lub opowiadać się za kimś lub za czymś. Dobry spektakl teatralny powinien dotyczyć: albo obudzi coś w widzu, albo nie.

Niekoniecznie miarą powinno być to, na ile widz się oburzy albo zachwyci.

Teatr nie jest trybuną polityczną. Teatr nie jest świeclicą domu kultury. Teatr nie jest wykładem z języka polskiego. Teatr nie może pouczać, ma uczyć. Na dodatek uczyć niepostrzeżenie. Jak to się dzieje, że Szekspir i Molière są grani od kilkuset lat? Przecież zmieniają się stosunki społeczne, władza, zmieniają się narzędzia, którymi się posługujemy, a te dramaty są bezustannie współczesne i aktualne. Dlaczego? Bo Szek-

Jan Englert

– aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, reżyser teatralny, profesor sztuk teatralnych, pedagog. Jego debiut filmowy to rola w „Kanale” Andrzeja Wajdy (1956), w teatrach występuje od 1964 roku. Zagrał ponad 150 ról w teatrach i ok. 200 w Teatrze Telewizji i serialach. Na dużym ekranie wystąpił kilkadziesiąt razy. Laureat wielu nagród. Były rektor PWST w Warszawie.

Spółeczeństwo

spir i Molier zajmują się człowiekiem. Człowiek zmienia przestrzeń, w której się porusza, ale jako twór biologiczny – żeby Boga już w to nie mieszać – w gruncie rzeczy składa się nie tylko z samych gruczołów, lecz także, powiedzmy, z duchowości.

Wiele rzeczy już wiemy, ale też wciąż nie znamy odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie wiemy tak naprawdę, z czego rodzi się uczucie, co to jest miłość. Feromony? Za łatwe. Feromony to może seks, ale nie miłość. Mamy w sobie jednak jakąś tajemnicę i jeśli autor zajmuje się człowiekiem, a nie sprawą, ma szansę przetrwać.

Wszystkie sztuki, które są głośne ze względu na aktualia, po 10 latach już nie funkcjonują, nie działają, nie rezonują, bo świat się zmienia.

Obecnie, dzięki Internetowi, wszyscy uważamy, że świat jest nasz i że się nami interesuje. Ego mamy rozbudowane tak jak nigdy w historii cywilizacji: 100 proc. rozbudzonego ego, narcyzm, egocentryzm, przeświadczenie o własnej wartości. Jednocześnie towarzyszą temu dramaty, np. zwiększona liczba samobójstw. Nie wszyscy potrafią odnaleźć się w świecie tak

„ustawionych” wartości i przegrywają. Wynika to również z tempa, w jakim żyjemy.

Egocentryzm dotyczy, według pana, bardziej polityków, artystów, a może młodych?

Wszystkich.

”*Wszyscy **ZMIENIAMY ŚWIAT, NIE ZMIENIAJĄC SIEBIE.** Wszyscy domagamy się empatii i zrozumienia dla siebie, nie mając empatii dla innych. To jest powszechne.*

Przyjmujemy za prawdziwe wszystkie te wiadomości, które są w zgodzie z naszym zdaniem. Wszystko, co nie jest w zgodzie z naszym zdaniem, jest dla nas fejkem. To dotyczy 100 proc. z nas. W tym przypadku powoływanie się na jakiekolwiek grupy społeczne czy generacyjne nie ma żadnego sensu. Tutaj te podziały nie obowiązują. A jeśli mowa o teatrze, w ankietach przeprowadzanych przez profesjonalnych krytyków to samo przedstawienie może być uznane zarówno

Spółeczeństwo

za największe wydarzenie, jak i największy skandal sezonu, i obie opinie pozostają pełnoprawne.

Pojęcie awangardy już nie funkcjonuje, bo wobec czego? Nie ma awangardy. Dlatego dla mnie wymiernym kryterium w zawodzie, który uprawiam, jest rzemiosło, umiejętność. Mam szacunek dla umiejętności.

Powiedział pan, że w naszej kulturze króluje „golonka z chrzanem”. Czym ona jest?

To był żarcik. Golonka z chrzanem oznacza, że należy się „nażreć”. Golonka ma również kość, którą można komuś dołożyć. W teatrze serwujemy teraz raczej ciężkostrawne menu, a ja mam ochotę na desery.

Na ptysia z kremem!

No właśnie. Po premierze „Mizantropa” koledzy zrobili mi prezent – dostałem różową koszulkę z napisem „Ptyś”. A powie mi pani, dlaczego ten wywiad właśnie ze mną?

Wybraliśmy pana jako ptysia. Jest pan moim ptysiem z kremem.

Proszę to ująć w tym wywiadzie. Mam nadzieję, że państwu nie zaszkodzi.

Mówi pan, że obecnie bardzo szkodzą Internet i media, nie tylko społecznościowe – one mogą dzisiaj zniszczyć człowieka. Jest to współczesna forma tortur?

Potrafią i zbudować, i zniszczyć. Mamy kariery jętki jednodniówki. Liczba followersów decyduje o tym, czy mamy sukces czy nie. Ale to jest sukces trzydniowy. Wszystko się zdewaluowało: sukces, porażka. Porażka boli bardziej i oczywiście ciągle mamy niedosyt sukcesu. Informujemy cały świat o tym, co jemy, z kim śpimy, gdzie odpoczywamy. Więc nie miejmy pretensji, kiedy ktoś nam włazi z butami do łóżka. Sami się ofiarowujemy.

Ale żebyśmy się dobrze zrozumieli – ja tego nie krytykuję; to jest syndrom czasu. Tylko nie miejmy pretensji, jeśli ktoś, do kogo poszliśmy w gości, bośmy się podali na tacy, zeżarł nas nie na ten posiłek, na który się do niego wpraszaaliśmy. Myśmy się sprzedali na wystawny obiad, a on nas zeżarł jak bułkę z masłem na drugie śniadanie.

Co jest dla pana miarodajne jeśli chodzi o ocenę spektaklu?

Spółeczeństwo

Widz. Siłą teatru – i jedynie teatru – jest to, że funkcjonuje wyłącznie w czasie teraźniejszym. Każda rola umiera wraz z opadnięciem kurtyny, nie ma żadnych szans, żeby ktoś nas w przyszłości odkrył, dostrzegł wielkość naszych ról. Dowie się o nich co najwyżej z recenzji, bo to one pozostają.

Dlatego jestem na wojnie z krytykami, ponieważ te opinie, które wychodzą spod ich pióra, czasami słuszne, czasami niesłuszne, a nierzadko wygłaszane we własnym interesie, pozostają.

Obecnie w krytyce nikt się zresztą aktorami nie zajmuje, aktor może się pojawić w nawiasie przy jakiejś tezie. Czasem z epitetem „znakomity” albo „przekonujący”. Rolę określa się przymiotnikiem – to jest wszystko. A przecież jednak podmiotem w teatrze jest aktor, aktorstwo. Większość widzów nie pyta, kto reżyserował, pytają, kto gra. Ludzie z różnych powodów przychodzą do teatru: niektórzy przychodzą „na aktorów”, czasami na tych, których znają z seriali, niektórzy przychodzą, bo są zainteresowani konkretną literaturą, inni oglądają kabaretony, żeby się ubawić po pa-

Społeczeństwo

chy, bo to też jest rodzaj teatru – w formie najprostszego żartu. I bardzo często pada pytanie: smutne czy wesołe? Bo jeśli smutne, to już nie – nie przyjdę, zainteresowanie opada.

Teatr w tej chwili przegrywa z Netflixem, nie ma z nim szans, ale

*to nie znaczy, że umrze, że się skończy,
bo* **TĘSKNOTA ZA CZYMŚ, CO ROZGRYWA
SIĘ W ŻYWYM PLANIE** *i w czasie rzeczy-
wistym, będzie funkcjonowała.*

Są na to dowody: sale teatralne są zapchane, nie ma biletów, bardzo ciężko dostać się na przedstawienia. Widz inaczej teraz słucha, bardziej ogląda niż słucha. Jeśli więc w teatrze uda się coś, co wymaga zrozumienia tekstu albo intencji autorów, to dla mnie wyczerpuje już odpowiedź na pytanie: „po co?”. Na pytanie, co pan najbardziej ceni w teatrze, odpowiadam: „teatr”.

Teatr wygrywa obecnie z kinem. Kino upada?



„Mizantrop” w Teatrze Narodowym: Justyna Kowalska, Grzegorz Małecki i Przemysław Stippa



Spółeczeństwo

Jeśli chodzi o frekwencję, to w salach kinowych jest mniejsza, bo to jest jednak forma bliższa Netflixowi. Teatr i platformy znacząco różnią się formą. W pandemii funkcjonował teatr on-line. Oglądałem przedstawienia i łapałem się na tym, że jak mi się chciało herbaty, to szedłem do kuchni, traciłem 5 minut i nie przeszkadzało mi to. W tej chwili widz, jeśli będzie ewoluował, to właśnie raczej w tym kierunku: jeśli zachce mu się herbaty, dlaczego ma nie wyjść z seansu filmowego czy z przedstawienia? Może i z teatru będą wychodzili po coca-colę i wracali na widownię? Choć wydaje mi się, że jednak w teatrze jest to mało prawdopodobne ze względu na to, że mamy bezpośredni kontakt z widzami. Jak to będzie w przyszłości wyglądało, do końca nie wiem. Natomiast mimo wszystko jestem spokojny, uważam, że teatr będzie funkcjonował. Być może będzie go mniej, być może zmieni się konwencja, sposób rozmawiania z publicznością, a być może widz znowu będzie czekał przede wszystkim na słowo, a nie na obraz? Gdybym to wszystko wiedział, byłbym w tej chwili najlepszy w Europie. Mogę najwyżej przewidywać.

Czy dramaty są pisane pod mężczyzn?

Jeśli chce pani feminizm pakować do teatru, to od razu odpowiem, że ostatnio dostałem zapytanie o wynagrodzenia i okazało się, że muszę wprowadzić parytet, bo kobiety zarabiają u mnie średnio o 50 zł więcej.

Teatr oparty jest na literaturze i to ona w tej chwili nadrabia straty, jeśli chodzi o bohaterki.

A kwestia miejsca kobiety w świecie oraz pojęcie feminizmu są bardzo pojemne. Zawsze byłem zwolennikiem kobiet i zawsze wolałem pracować z kobietami, więc mogę nazywać się feministą, ale irytuje mnie, kiedy każą mi dodawać przyrostki żeńskie do męskich rzeczowników, to idiotyzm. Bo wtedy trzeba by zmieniać też żeńskie końcówki na męskie. W języku polskim jest więcej końcówek żeńskich, na czele z Polską, Polska jest kobietą.

Zrozumiałe jest dla mnie, że po latach ograniczeń i braku suwerenności – wolność wybucha z siłą wulkanu, niekontrolowanej lawy. Natomiast trzeba uważać, żeby przy okazji tej rozlewającej się lawy nie zniszczyć infrastruktury poniżej wulkanu, żeby jednak to troszkę kon-

Spółeczeństwo

trolować, nie przekraczać granic, także granic logiki. To samo dotyczy wszystkich idei: niekontrolowane, nawet najślusniejsze, jeśli przeradzają się w pewnego rodzaju fanatyzm, zaczynają niszczyć same siebie.

”*Trzeba bardzo uważać z domaganiem się rekompensaty, **REKOMPENSATA MNIE NIEPOKOI**; nie żądamy ekwiwalentu za ostatnie tysiąc lat.*

Nie żądamy od Niemców, żeby nam teraz zapłacili odszkodowania.

Komu zabrać, żeby oddać innemu? Zawsze braliśmy i dawaliśmy. Jedną z tajemnic dobrego życia, pewnej równowagi, jest balans między dawaniem a braniem. Nie wolno tylko dawać, nie wolno tylko brać, trzeba umieć zrównoważyć jedno i drugie. To odnosi się również do małżeństwa, miłości – równowaga musi być.

Kto miałby to kontrolować?

Kto i jak? To już jest trudniejsze pytanie. Zwłaszcza kto, bo każdy uważa, że racja jest po jego stronie. Zbu-

Spółeczeństwo

rzyliśmy wszystkie hierarchie, nie mamy jasnych kryteriów, a wolność jest hasłem, pod którym chętnie się podpisujemy.

Jednak wolność też musi mieć granice. Domaganie się pełnej wolności prowadzi do anarchii.

Bywa tak, że kultura brata się z polityką?

Powiedziałbym tak: polityka brata się z kulturą. Polityka też jest rodzajem teatru. Teatr walczy o „rząd dusz”, a polityka to już jest wojna nie tylko o korzyści duchowe, ale również, a właściwie przede wszystkim – materialne, choć oczywiście pod hasłami duchowości, patriotyzmu i szlachetności. Polityk to jest zawód, w polityce czystość intencji może istnieje, ale czystość działań, fair play? W polityce szlachetność jest głupotą.

Jak ocenia pan rzemiosło polityków?

Umiejętności mają raczej nikłe, bardzo by im się przydało troszeczkę dobrego aktorstwa. I jest jeszcze taka sprawa jak moralność: jeśli ja w politycznej dyskusji dwóch zwalczających się partii słyszę argument, że „kradniecie!” A w odpowiedzi: „Ale wyście kradli więcej!” – to znaczy, że ktoś zwariował. W tej chwili

Spółeczeństwo

kłóćimy się o to, kto więcej kradnie, a nie o to, czy wolno kraść. Alibi na grzech. Jak oni, to i my, jak on, to i ja. I teraz: gdzie w tej układance jest koniec? Kto kogo na końcu zabije albo kto uzna, że na pewno ma rację? Parzyste z nieparzystymi, ale rachunek jest zawsze taki sam, zawsze ktoś przegrywa. Komuś się wydaje, że wygrał, ale to zwycięstwo też jest na chwilę. Oczywiście nie można wszystkim odmawiać szlachetnych intencji, być może one istnieją, tylko bardzo szybko się dewaluują. W ogóle takie dywagacje, jakie teraz z panią prowadzę, wydają mi się jednak strasznie łatwe: powiedzieć takie okrągłe zdanie, złotą myśl, i co? Spotykam się teraz z tyloma nieszlachetnymi ludzkimi zachowaniami, a większość z tych nieszlachetnych wierzy, że ma jakąś misję do wypełnienia i nie widzą, że – realizując swoją misję – niszczą innych.

Istnieje jakieś rozwiązanie?

Zawsze w cywilizacji było tak, że jak coś za daleko zabrnęło, to kończyło się katastrofą, z której potem długo się podnosiliśmy. Więc jest katastrofa.

Samodestrukcja?

Spółeczeństwo

Samodestrukcja –bardzo wyraźnie zmierzamy gdzieś w tym kierunku. I nie tylko my: natura, czy to Bóg, też zmierza. Natura sama reguluje wiele rzeczy. Kieruje się swoimi bezwzględными prawami, a my jesteśmy jej elementem. Może to brzmieć jak alibi na własne niegodziwości, ale jest coś takiego, że autodestrukcja zawsze towarzyszy sytym. Przychodzi taki moment, że jesteśmy tak najedzeni, tak syci i tak nam dobrze, że to się musi skończyć... By mogło zacząć od nowa.

Powiedział pan, że podpisuje się pod sentencją: „Świat jest bardziej paskudny niż myślałem” - gorzkie podsumowanie.

Wszyscy starcy mają gorzkie podsumowania. Wszyscy, jak dostajemy coś pozytywnego, to uważamy, że nam się należy, a jak dostajemy coś paskudnego, to uważamy, że to skandal i oczywiście dłużej o tym pamiętamy. Dłużej pamiętamy porażki niż sukcesy. Nawet Moliere w „Mizantropie” mówi: Gdybyśmy wszyscy byli uczciwi, w jaki sposób byśmy własnych cnót pilnowali?

Kiedyś w Internecie podobno bardzo dostałem po uszach. Stało się to po wywiadzie, w którym zapytano

Spółeczeństwo

mnie, czy uważam, że życie trzeba przeżyć tak, by móc sobie spojrzeć w lustrze w oczy. Powiedziałem, że uważam to za jedno z głępszych powiedzeń, bo nie znam ani jednego sku...syna, który miałby kłopot ze spojrzeniem sobie w oczy w lustrze. Przecież nie na tym to polega – musi być jakieś kryterium, muszę się czegoś wstydzic, by mieć problem ze spojrzeniem sobie w oczy. A my w tej chwili nie wstydzimy się niczego.

Pan się czegoś wstydzi?

Oczywiście, ja jestem wychowany na wstydzie.

”MOJE POKOLENIE BYŁO WYCHOWANE NA WSTYDZIE. *Były pewne kryteria zachowań i je omijaliśmy, bo po to są kryteria, żeby je omijać, ale człowiek się tego wstydził.*

Później bardzo wyraźnie widziałem, jak łatwo znajdujemy usprawiedliwienie na własne niegodziwości, a teraz jest to powszechne: alibi na grzech ma każdy. Kradniemy, bo i oni kradną – to wystarczy, nie ma o czym

Społeczeństwo

rozmawiać. Z 10 przykazań zostało właściwie: „ani żadnej rzeczy, która jego jest”, bo oderwane od pozostałych nic nie znaczy. Ale: czy potrzebne jest 10 przykazań? Niepotrzebne; właściwie jakiekolwiek kryteria, zasady, prawa są przeżytkiem. Co to jest kryterium moralności? To nie jest stosowanie się do przykazań itd., tylko szacunek do drugiego człowieka.

Bauman mówił, że miarą naszej moralności jest empatia. Albo mamy rzeczywistą empatię, czyli rozumiemy innych ludzi i zajmujemy się nimi, albo nie. Jest co prawda bardzo wiele osób, które uważają, że się innymi zajmują, ale jest to przełamane przez zaimek „ja”: Ja zajmuję się nimi. Ale to przecież nie do końca to samo.

Mówi pan, że pycha jest siostrą władzy. Pan, jako dyrektor teatru, potrafi kontrolować swoją pychę?

Parę razy w życiu, mając władzę, złapałem się na pysze, a ile razy się nie złapałem – nie wiem. Z wiekiem, wraz z upływem lat to się miesza z coraz mniejszą pewnością siebie, bo starcy tylko udają, że są pewni siebie. Krzyczą, że mają rację, żeby się nie wydało. Starość to jest tracenie pewności siebie. Jeżeli ktoś zajmuje się

Spółeczeństwo



Justyna Kowalska (Celimena). Niżej; Edyta Olszówka (Elianta), Grzegorz Małecki (Alcest)



Spółeczeństwo

tylko sobą, to tego nie dostrzega: boli go noga, rano przykręca ją kluczem francuskim, kaszle, cierpi, stęka, mówi o swoich chorobach.

Tacy ludzie zajmują się sobą i walczą o utrzymanie na powierzchni wody, zamiast pięknie utonąć. Ale jeżeli żyje się publicznie, próbuje się jeszcze w tym życiu uczestniczyć, nie tylko walczyć o siebie, ale o coś jeszcze, to starość jest traceniem coraz większej przestrzeni wokół siebie, przestrzeni, w której poruszaliśmy się z pewnością siebie.

Wraz z upływem lat świat zaczyna się kurczyć i zmniejszać, a lód pod nami pęka. Nie musi się to odnosić do fizyczności, to jest w głowie. Ja teraz wygłaszam cały szereg sądów, ale nie mam pewności, że mam rację. Po prostu nie wiem. Tak mi się wydaje, a jeszcze 10 lat temu byłbym pewien tego, co mówię.

I to nie jest sprawa słabości. Jak się żyło dość intensywnie, to dostrzega się względność wszystkiego. Wszystko w gruncie rzeczy daje się podważyć. Trzeba bardzo mocno trzymać się swojego płotu po to, żeby się nie przewrócić, ale z kolei jak się człowiek trzyma

Społeczeństwo

za mocno, to nie zauważa, że procesja już dawno przeszła. To nie jest takie proste. To jest bardzo ciekawy okres życia. Sam się w tej chwili sobą nie zajmuję, ale czasami łapię się na tym, że myślę i piszę o sobie sprzed 20 lat w trzeciej osobie, piszę per „on”.

*Ja o sobie z przeszłości nie myślę: „ja”, to jest ktoś inny; naprawdę, ja tego nie udaję. **STAĆ MNIE NA OCENĘ** tego, co robił tamten „on”.*

Być może nie jest to sprawa wieku, ale mojego charakteru, być może tego, że tak mi się życie ułożyło, że muszę zajmować się nie tylko sobą; może to być wypadkowa różnych rzeczy. A ten świat jest bardziej paskudny niż myślałem, bo jest.

A nie jest też piękny?

Jeśli chodzi o kwestię estetyki – tak, jesteście piękni, ale jeśli chodzi o etykę – już gorzej. Mechanizmy, które uruchamiamy, niekoniecznie służą pięknu, raczej wręcz przeciwnie.

W tym roku kończy Pan 80 lat. Jest to dla pana czas jakichś podsumowań?

Nie, ja ciągle uważam się za „rozwojowego”. Nie czynię żadnych podsumowań. Przeczytam oczywiście ten wywiad; chyba wszystko, co powiedziałem, to są pewnego rodzaju podsumowania, ale nie ostateczne i tak jak powiedziałem: mam co do nich wątpliwości. Świat teraz tak galopuje, tak się zmienia... 40 lat uczę w Akademii Teatralnej i widzę, jak mocno studenci czwartego roku różnią się od studentów roku pierwszego. Wszystko w tej chwili nieobliczalnie szybko posuwa się naprzód i jeżeli coś zwiastuje katastrofę, to właśnie ta szybkość, szybkość odkryć narzędzi, gadżetów, które wchodzą w życie natychmiast i są do powszechnego użycia, a pojawiają się w tempie uniemożliwiającym przyzwyczajenie się do zmiany. Korzystamy z tego wszystkiego.

Z hasłem wolności na ustach oddajemy się w pełną niewolę i nawet jak sobie to uświadomimy, mówimy: Aaaaaa, co tam.

Przynajmniej mam wygodnie. Jeśli chodzi o jednostkę, moim zdaniem, nigdy nie była tak zniewolona

Spółeczeństwo

jak w tej chwili. Oczywiście z pełną akceptacją i pozornym poczuciem wolności. Dlatego uważam, że świat jest paskudny. Dostajemy jedzenie i dopóki nam go nie zabraknie, jesteśmy szczęśliwi. W naszym zagajniczku jest nam bardzo przyjemnie, a jak ktoś mówi, że gdzieś niedaleko spłonął ktoś inny, to myślimy: No i bardzo dobrze, pewnie mu się należało. W gruncie rzeczy, będąc właścicielami i obywatelami świata, nadal jesteśmy prowincjonalni. To jest dylemat współczesności – ciągle żyjemy w zamkniętych enklawach. A populiści wygrywają, bo uderzają w słabości małych nacjonalnych czy intelektualnych ludzkich enklaw. Żyjemy w takim stwardnieniu rozsianym. Dziś lubimy powiedzieć, że to jest „nasze, moje, własne”, a w ramach tego „własne” na końcu jest „ja”. Jeśli człowiek żył świadomie, to widzi, że jak to „ja” gaśnie, nikt tego nawet nie zauważa, nie ma żadnego znaczenia to moje „ja”. „My” – w tej chwili już bardzo rzadko używane, choć przez populistów – i owszem. A „oni”? Już nie. „Wy”? Też nie. Właściwie „ja” i „my” – to są dwa zaimki, w które wierzymy. Prędzej czy później wszystkie „ja” i „my” się kończą. Kończą się zawsze.

Dlatego lęk przed śmiercią jest dla mnie rzeczą abstrakcyjną, przecież to jedyny pewny kontrakt. I zawsze przy tej okazji cytuję Fredrę, który napisał: „Nie strach umrzeć, strach umierać”.

Czego by pan życzył sobie, kulturze, Polsce na nowy rok?

Jezus Maria, czego bym sobie życzył? Życzyłbym może przywrócenia pewnej hierarchii wartości i to nie z punktu widzenia ideologii czy polityki, tylko takiej zwykłej, prostej ludzkiej empatii i zrozumienia, że świat się nie kończy ani nie zaczyna na nas. Bierzymy przecież udział w rodzaju sztafety, w której jednak trzeba uczestniczyć z pewnego rodzaju pokorą – ale to brzmi jak homilia. Czego życzę Polsce, czego życzę polskiej kulturze? Żeby trwały. Koniec.

A jeszcze w miarę możliwości, żeby trwały w sposób uczciwy, czysty i humanistyczny w całym tego słowa znaczeniu. Ale czy to jest praktyczne życzenie? Nie wiem. Mogę takie laurki układać, ale czy one są realne? Nie wiem. Nie umiem powiedzieć. Tym bardziej trudno jest takie sądy wygłaszać publicznie.

Spółeczeństwo

Wracamy znowu do tego, że żeby być wodzem, populistą i przez pewien czas mieć sukcesy, nie wolno mieć wątpliwości. Ja je mam. Kiedyś świat był prostszy, mieliśmy jednego wroga. Za komuny wiadomo było, gdzie jest słusność, gdzie jej nie ma. Nikt nie miał problemów, sami zainteresowani nie mieli problemów z wyznaczaniem granic.

”*W tej chwili **NIE MA ŻADNYCH KRYTERIÓW, NIE MA STYLU**, nie ma formy, jest pełna wolność, a właściwie nie wolność, a anarchia, anarchia postaw.*

Anarchia zawsze daje szerokie możliwości różnego rodzaju demagogom i tym, którzy potrafią używać niekoniecznie kluczy, ale wytrychów do otwierania problemów. Pojęcia uczciwości i nieuczciwości są tak pojemne, poza tym jedno z drugim jest wymieszane. Szlachetnego od nieszlachetnego pani nie odróżni, bo nie ma kryterium szlachetności. Nawet śmieci segregujemy, a w Internecie jest tylko jeden kontener, nie segregujemy nic.

Spółeczeństwo

Wyjmujemy coś szlachetnego i to jest tak upačkane w brudach, że przestaje być szlachetne. To jest w tej chwili śmietnik, również pojęć, również takich wywiadów: ja śmieczę w tej chwili, nawet nie wiem, czy mnie trzeba wrzucić do papieru, do szkła czy do bio. Nie wiem.

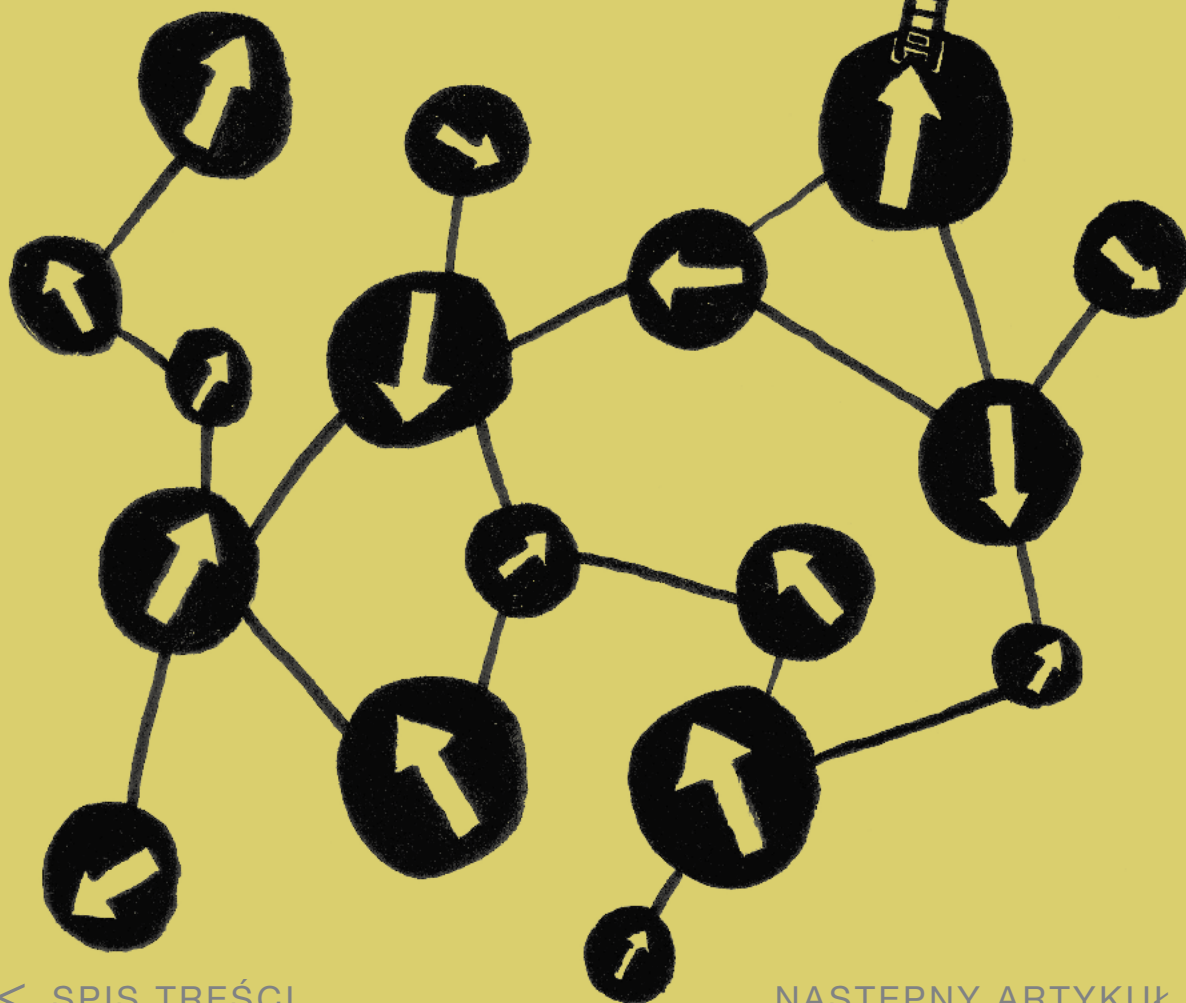
Ale chyba jeszcze się pan nie rozkłada?

Tego nie wiadomo, człowiek nie wie, czy się nie rozkłada. Ja myślę, że się rozkładałam. Cały ten wywiad jest o moim rozkładzie. Gdyby tak nie było, wygłaszałbym pani sądy stuprocentowe, a ja... nie wiem. Nie wiem, czy mam rację. W tej chwili mam poczucie chodzenia jeszcze co prawda nie po bagnie, ale po miękkim torfie... Za chwilę mogę się utopić. Idę do przodu, ale wszystko ugina się pod nogami. Ciężko się podbić, wyskoczyć w górę, bo strach. Strach, że jak spadnę, to na pewno się utopię.

Zamiast walczyć o utrzymanie na powierzchni, wolałby pan pięknie utonąć?

Pięknie utonąć – oczywiście, że tak. A co? Trzymać się tej burty i rzeźić o pomoc? Nie. 

Spółeczeństwo



Fot. Sleepingspider/Ikon Images/EAST NEWS

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

DIAGNOZY ZAMIAST POSTANOWIEŃ

*Zamiast postanowień noworocznych **BĘ-
DZIEMY PRAWDOPODOBNI FUNDOWALI SO-
BIE DIAGNOZY PSYCHIATRYCZNE I PSYCHO-
LOGICZNE. CO MOŻE Z TEGO WYNIKNĄĆ?***
– ZASTANAWIA SIĘ PAWEŁ DROŹDZIAK, psy-
cholog i psychoterapeuta. I dodaje: – Mu-
simy sobie uświadomić, że normalizując
problemy psychiczne, mimo najlepszych
naszych chęci, wywołujemy rodzaj werte-
rowskiej epidemii.



Rozmawiała **Krystyna Romanowska**

Mam wrażenie, że postanowienia noworoczne zdevaluowały się w nieprzewidywalnym świecie. Pandemia i wojna w Ukrainie skutecznie zadrwiły z najbardziej zatwardziałych „postanawiaczy”. Czego chcemy w zamian?

Porady „jak dotrzymać noworocznych postanowień” były modne, ale ich czas – jak pani trafnie powiedziała – już się skończył. Podobnie jak w ogóle epoka motywowania się do wysiłku. Narracja maksymalistyczna w stylu „możesz wszystko, tylko musisz bardzo chcieć” zaczęła nas denerwować. Dlatego coache motywacyjni przestali mieć dobrą prasę. Ludzie są przepracowani i nie chcą już słyszeć: „Możesz więcej” i „możesz jeszcze więcej”. Nie jesteśmy w stanie sprostać wszystkim wymaganiom w każdej dziedzinie, być idealnym rodzicem, pracownikiem, mieć świetną sylwetkę i na wyrywki cytować Hararię i Prousta. To się zawsze źle kończy.

Zamiast kreślenia niemożliwych celów i zapewniania siebie, że „możemy wszystko” – fundujemy więc sobie... diagnozy.

Diagnozy psychologiczne i psychiatryczne?

Tak. Ich celem jest wyjaśnienie, dlaczego – mimo, że „mogliśmy wszystko” – nic szczególnego się w naszym życiu nie wydarzyło. Dlaczego nie ma sukcesu, choć warunki ku temu były? Diagnoza odpowie: „Nie-



Paweł Drożdżiak

– psycholog, psychoterapeuta, mediator rodzinny. Pracuje z osobami mającymi trudności w kontrolowaniu zachowań impulsywnych. Prowadzi psychoterapię osób uwikłanych w związki, w których występuje element uzależnienia emocjonalnego. Autor wielu artykułów nt. psychologii oraz współautor książek: „Zawsze bezpieczna - psychologiczne aspekty samoobrony kobiet” i „Blisko, nie za blisko”. Ekspert w programach radiowych i telewizyjnych.

Spółeczeństwo

zdolność danego człowieka do robienia rzeczy wielkich wynika z jego obiektywnych problemów”.

A nie z tego, że komuś się nie chciało, nie miał talentu, predyspozycji, twardego tyłka czy innych cech, którymi odznaczają się zwycięzcy.

Jest taki moment w życiu młodego człowieka, kiedy chce się jakoś określić. Chce „być kimś”, szuka siebie. Potem wiele osób tworzy relacje, krystalizuje się u nich tożsamość rodzinna, potem zawodowa, z którą się godzą. Ci, którym nie uda się takiej tożsamości stworzyć, sięgną po wytłumaczenie, dlaczego ich życie potoczyło się w taki, a nie inny sposób. Dlatego nurt diagnostyczny będzie – w moim przekonaniu – wypierał dawniejsze poradnicze nurty motywacyjne. Z prostej przyczyny: ci, którzy mieli się zmotywować – już się w przeszłości zmotywowali.

*Pewna niewielka część osiągnęła sukces, ale nim się nie podzieliła. Niestety, **WIELU INNYCH PONIOSŁO STRATY**, bo nadmiernie koncentrując się na ambicjach,*

Spółeczeństwo

zaniedbali swoje związki, dzieci i zdrowie, a w sumie niewiele zyskali. Zrobili obrachunek i wyszło im, że „motywowanie się” niewiele dało.

Diagnoza natomiast jest idealnym przykładem kompromisu: wszyscy są zadowoleni. Zdiagnozowany, bo czuje ulgę (niewiele, a właściwie nic od niego nie zależy). I społeczeństwo, bo nie musi się zastanawiać, dlaczego akurat temu komuś nie wyszło.

Widać to już mocno w życiu społecznym. Ostatnio obserwuję wysyp testimoniali młodych matek, które zdiagnozowały u siebie tzw. WWO, czyli wysoką wrażliwości. Denerwują się mocno na swoje kilkuletnie dzieci, że te nie są w stanie uszanować samotności mam-introwertyczek. Trochę to niebezpieczne narracja stygmatyzująca dzieci jako osoby odpowiedzialne za zły stan matki „z diagnozą”. Sugeruje pan, że diagnoza może odebrać siłę i chęć do aktywnego zmieniania rzeczywistości? Jednym słowem, że usankcjonuje lenistwo?

Społeczeństwo

W jakim sensie może usprawiedliwiać niepodejmowanie działań. Orzeczenie – następca dawnej motywacyjnej mowy – będzie czymś wiecznym, co trwale daną osobę dookreśli. W niepewnym, płynnym świecie to wartość nieoceniona, ponieważ można się do niej odwoływać. Jest wyrażona specjalistycznym językiem „neuro”, którego nikt nie śmie zakwestionować. A jej posiadacz już nie musi powtarzać „jestem zwycięzcą”, nie musi „przyciągać pozytywnych energii” ani „przekraczać strefy komfortu”.

Ale coś jednak musi?

Przekonać innych, że powinni go czytać „poprzez” jego diagnozę. Że inni powinni go zaakceptować, zrozumieć. Przed nami zatem rozkwit nurtu doradczo-diagnostycznego, który będzie szukał indywidualnych, organicznych, potwierdzonych diagnozą lekarską odpowiedzi na pytanie: „dlaczego mi nie wyszło?” Człowiek, który dostanie taką diagnozę, nie musi już się przejmować naciskami z zewnątrz, żeby „wziął się za siebie”, „zorganizował się”, „zrobił, krok do przodu”, „zacisnął zęby”. Musi tylko przekonać ludzi do tego,

aby zrozumieć jego stan psychiczny i już nic od niego nie wymagali.

A on już nie musi się zmieniać. Wystarczy, że się po prostu nazwał.

Skąd taka zmiana społeczna?

Niejako wymusiło ją życie. Jest bardzo dobra komedia na Netfliksie „Noc w przedszkolu”. Jest tam scena, w której jedna z mam organizując imprezę dla dzieci mówi: „Korona dla każdego dziecka, każde dziecko ma być królem”. Dorośli wiedzą, że jeżeli każdy będzie królem – to królestwo nie będzie duże. Dlatego dziś już dziecko nie ma być królem, tylko ma mieć taką etykietę, która go ochroni.

Musimy sobie uświadomić, że normalizując problemy psychiczne, mimo najlepszych naszych chęci, wywołujemy rodzaj werterowskiej epidemii. W naszym modelu wychowawczym i w ogóle w kulturze dowartościowaliśmy maksymalnie empatię i wskazówkę „feel your feelings” zapominając, że to miały być tylko narzędzia dla psychoterapeutów w gabinecie, a nie sposoby na życie i pomysły na fundament kultury.

Zrobiliśmy więc potężne wahanie.

„Z modelu pompowania oczekiwań
**PRZESZLIŚMY DO MODELU, W KTÓ-
RYM CAŁKOWICIE NEGUJE SIĘ WAR-
TOŚĆ** takich rzeczy jak: mobilizacja,
przetamywanie się, konsekwencja
działania

mimo przejściowych emocjonalnych stanów, mechanizm znieczulenia się na cierpienie dzięki mobilizacji.

Zapomnieliśmy o tym, co przez tysiące lat pozwalało ludziom mimo trudności działać, a nie rozmontowywać się całkowicie i zapadać coraz głębiej. Dzisiejsza kultura kompletnie nie docenia takich narzędzi jak trzymanie się form, zamiast tego doceniając wyłącznie „otwartość”.

Nie wydaje się panu, że profesor Matczak z jego filozofią życiową, chce wyrosnąć na nowego motywacyjnego coacha?

Spółeczeństwo

Narracja liberalna profesora Matczaka, którą ostatnio obserwujemy, jest – moim zdaniem – jakąś próbą powiedzenia tego, że rezygnujemy z postanowień na rzecz – właśnie – diagnoz. I do tego punktu jest prawdziwa. Matczak jednak – w swoim uwielbieniu dla ciężkiej pracy i maksymalizacji wysiłków – nie zauważa, że nagromadzenie kapitału jest po stronie... wielkiego kapitału i obojętnie, jak bardzo byśmy dużo pracowali, kapitał się z nami nie podzieli.

Koncepcja produkowania najbardziej efektywnych ludzi miała swój moment chwały pod koniec lat 80. i 90. (polecam serial „Brokat”). Może na początku roku 2000. Ci, którzy wtedy mieli wskoczyć na „wysoką grzędę” zajmowanych stanowisk, już to zrobili. Pozostałym – raczej nie wróżę błyskotliwych sukcesów.

Powiedzmy sobie prawdę w oczy: nie da się dzisiaj założyć drugiego TVN, kolejnego Allegro czy kolejnej Żabki, że o Amazonie nie wspomnę. Można pracować maksymalnie efektywnie, ale nie da się już – nawet bardzo ciężką pracą – wejść na szczyt taki, jaki wi-

dzieli w swoich snach młodzi ludzie w latach 90. Narracja maksymalistyczna zaczęła więc mieć złą prasę, ponieważ daje złudną nadzieję na jakiś błyskotliwy sukces.

Ale gdyby ktoś z nas jednak miał potrzebę kontynuowania oldskulowej tradycji postanowień noworocznych, to co ma zrobić, żeby w nich wytrwać?

Mogę się zgodzić na odpowiedź, jeśli będziemy pamiętać, że to z pewnym przymrużeniem oka. Zasadniczo postanowienia noworoczne mają swoją „siłę rażenia” maksymalnie do 6 stycznia. A przecież każdy ma swój cykl życiowy związany choćby z sezonowością, jakiej podlegają różne profesje. Planując postanowienia noworoczne warto się raczej do tego swojego cyklu życiowego odwołać, niż do odgórnie ustalonej daty początku kalendarzowego roku.

Dlaczego właściwie mamy problem z dotrzymywaniem sobie danych obietnic?

To fascynujące zjawisko. Kolejny dowód na to, że nasz umysł składa się jakby z wielu warstw czy też instancji, a nie jest jedną całością.

”*Ludzie zwracają się do specjalistów z osobliwym domaganiem „chciałbym się zmotywować”. Co to oznacza? Oznacza to, że **KTOŚ PRAGNIE, NIEWYSTARCZAJĄCO SILNIE, aby coś zrobić.***

Szuka więc kogoś, kto sprawi, że jego motywacja będzie na tyle duża, żeby coś zmienić na trwałe. Na pierwszy rzut oka wygląda to bezsensownie, bo można tę prośbę sprowadzić do „spraw, żebym chciał tego, czego nie chcę, bo chcę tego chcieć” co wydaje się nieco szalone, ale jednak spróbuję to nieco wyjaśnić.

W psychologii posługujemy się na przykład terminami „długiej i krótkiej ścieżki nagrody”. Są takie osoby, które w swoim działaniu potrzebują szybkich gratyfikacji i takie, które mogą na nie poczekać. I w zależności od tej właściwości naszej psychiki warto wybierać rodzaj postanowień. Jeżeli np. osoba z krótką ścieżką nagrody chce napisać książkę, musi mieć u boku kogoś, kto będzie czytał krótkie fragmenty i dawał feedback.

Jeśli będziemy długo pisali sami, a nasza ścieżka nagrody jest krótka, szybko to porzucimy.

Ktoś postanawia sobie: od Nowego Roku – koniec z piciem piwa codziennie przed Netflixem i scrolowaniem Facebooka. Zamiast tego – ambitna książka i herbata ziołowa. Czy to jest realne? Wymieniłem aż trzy nawyki, a każdy z nich prawdopodobnie zawiera parę pomniejszych. Raczej ciężko będzie taką wielką zmianę przeprowadzić. Ale może dałoby się na początek zauważyć, że istniejemy także poza nawykiem? Takie małe ćwiczenie. Podnieś głowę znad telefonu i spróbuj przez moment poczuć własne ciało. Zadaaj sobie pytanie „gdzie teraz jestem”, „co teraz robię”, „co mogę innego teraz zrobić” – cokolwiek co pozwoli poczuć, że oprócz nawyku jest jakaś przestrzeń wyboru.

Nowy Rok - nowy/a ja! To nie działa?

Nie działa. Jeśli to ma się udać, musimy założyć, że to będziemy dokładnie my – tacy, jakich znamy od zawsze. Można to wykorzystać, na przykład pamiętając, że jeśli dziś pójdziemy za chęcią zrobienia tego, czego „mieliśmy nie robić” to jutro będziemy się czuli tak

Spółeczeństwo

samo, jak się zawsze wcześniej czuliśmy następnego dnia. Czyli zamiast „będę innym człowiekiem” warto powiedzieć sobie „jutro będę dokładnie tym samym człowiekiem, którym już wielokrotnie byłem i będę znów czuł to, co już wielokrotnie czułem”. I spytać siebie czy to mi się podoba?

Inna kwestia – konkretyzowanie celu. Im bardziej konkretny cel, tym łatwiej się zorientować, jak nam poszło. Cele ogólnikowe, opisowe, są nieuchwytne.

No i skala. Ile tak naprawdę zajęć czy pracy możemy na siebie wziąć? Dokładanie sobie kolejnej porcji obowiązków, to czasem ryzyko, że nie będzie się miało czasu na spanie.

*Żeby człowiek był zdolny do tworzenia czegokolwiek, **MUSI SIĘ TROCHĘ NU-DZIĆ**. Mieć taki czas, kiedy nie robi literalnie nic. To kluczowa rzecz.*

Jeśli tego czasu nie ma, zdolności kreatywne bardzo spadną. Nowe plany warto skonsultować z najbliższymi

Spółeczeństwo

– co z tego, że ktoś postanowi chodzić 4 razy na basen/siłownię, jeżeli nie będzie mógł w tym czasie wypełnić rodzicielskich zobowiązań, typu pójść z dzieckiem do dentysty. Nie udadzą się plany, na które nasze otoczenie się nie zgodzi.

Bywa tak, że łatwiej nam się zmotywować do działania w jednej dziedzinie, a w innej - nie dajemy sobie rady.

Jeżeli ktoś na przykład wie, że jest ekspertem od gotowania, ale nie od sportu, to warto postawić sobie realistyczne wymagania. Nie będziemy od razu tak dobrzy na sali treningowej jak w kuchni. Trzeba się zgodzić na to, że początki będą skromne. Jeżeli ktoś ma historię porażek w danej dziedzinie, dochodzi ten kłopot, że czasem trudno nawet jasno myśleć o tej sferze życia i o tym, że ma się w niej brak. Taki paradoks wiąże się na przykład z nadwagą.

Wiele osób na tyle mocno martwi się swoją nadwagą, że nie są w stanie zmierzyć się z myśleniem o tym. To dla nich zbyt bolesne. Paradoksalnie dopiero zgoda na nadwagę, pewnego rodzaju wybacze-

Społeczeństwo

nie jej sobie może sprawić, że można sprawą w ogóle się zająć.

Jeśli zaczynamy jakiś plan z agresywnym nastawieniem wobec swojego „ja”, bez życzliwości, to koniec będzie taki sam jak początek, czyli złość na siebie. Dlatego najlepszym początkiem pracy nad własnymi brakami jest... choć trochę je sobie wybaczyć. Wiem, że to łatwo powiedzieć.... 



KKinal/Fot. Shutterstock

GRETA WSZECHMOGĄCA I RAJ BEZ TECHNOLOGII

*W proekologicznej narracji mamy do czynienia z religijnymi schematami, takimi jak raj, czyli świat bez przemysłu, świeccy święci – czyli działacze ekologiczni, np. Greta Thunberg, szatan – dla niektórych środowisk proekologicznych będzie to np. energia atomowa, dla innych – GMO. Grzechem pierwotnym jest w tym układzie każdy wpływ człowieka na środowisko. **KIEDY DZIAŁALNOŚĆ NA RZECZ OCHRONY PRZYRODY STAJE SIĘ RELIGIĄ, KONIEC ŚWIATA WYDAJE SIĘ CORAZ BLIŻSZY – mówi DR KAROLINA KRÓLIKOWSKA, specjalistka w dziedzinie ochrony przyrody.***



Rozmawiała **Krystyna Romanowska**

Dlaczego część z nas tak skwapliwie uwierzyła, że 20-letnia działaczka klimatyczna Greta Thunberg przyczyniła się do aresztowania Andrew Tate’a, byłego kick-boksera i domniemanego sutenera?

Bo lubimy happy endy i chcemy wierzyć w sprawiedliwość. Wcześniej Greta bardzo inteligentnie i kąśliwie odpowiedziała Tate’owi na jego deklarację o posiadaniu floty samochodów z ogromnym śladem węglowym. Prosząc, żeby wysłał jej spis aut na adres mailowy, który – oględnie mówiąc – nie był sprzyjający męskości Tate’a.

Publiczność szykowała się na efektowny finał rodem z niezłych filmów akcji. Chcieliśmy, żeby „Wonder Woman” Greta Thunberg ukarała denialistę klimatycznego jeszcze dotkliwiej. I tak się – dziwnym zrządzeniem losu – stało. Tate został szybko aresztowany przez policję. Wszystko więc wskazywało na to, że jest w tym jakaś zasługa Grety.

W Internecie pojawiła się wypowiedź, że to z powodu pudełka z nazwą pizzerii na zdjęciu, które udowadniało, że Tate jest w Rumunii – ergo jego fotografia z Twit-

Spółeczeństwo

tera, którym chciał upokorzyć Gretę, stała się dla niego mieczem obosiecznym. Rumuńska policja zdementowała jednak internetowe pogłoski o pudełku pizzy mającym naprowadzić funkcjonariuszy na ślad przestępcy.

*Karolina
Królikowska*

– doktor nauk o Ziemi w specjalności ochrona środowiska. Wykładowca przedmiotów m.in.: ekologia i ochrona środowiska, turystyka zrównoważona, rozwiązywanie konfliktów środowiskowych/przestrzennych w Wyższej Szkole Bankowej we Wrocławiu oraz na Uniwersytecie Wrocławskim. W obszarze jej zainteresowań badawczych znajdują się społeczne aspekty ochrony przyrody, konflikty ekologiczne oraz turystyka zrównoważona. Jako praktyk bierze udział w tworzeniu wojewódzkich i miejskich programów ochrony środowiska, strategicznych ocen oddziaływania na środowisko oraz miejskich planów adaptacji do zmian klimatu, uczestniczy w projektach partycypacyjnych dotyczących zarządzania obszarami chronionymi.

Co ciekawe, sama Greta nie odżegnała się oficjalnie od swojego „sprawstwa”. Napisała ogólnie na Twitterze: „Tak się kończy, jeżeli nie recyklinguje się pudełek od pizzy”. Tymczasem australijski „The Spectator” patrzy na to medialne starcie jak na konflikt dwóch plemion: „team Greta”, czyli ludzi przejmujących się katastrofą klimatyczną i „team Tate”, niemoralnych zakompleksionych hedonistów, mających za nic naukowe dowody na temat ocieplenia klimatu.

Tak. Ewidentnie jest to dowód na to, że żyjemy w epoce wojen plemiennych i tożsamościowych i tylko takie nas teraz pociągają. To, co może niepokoić to fakt, że młoda kobieta urasta do rangi świeckiej świętej i nie można jej krytykować. Ja sama nie jestem entuzjastką jej wszystkich poczynań, chociaż trzeba jej oddać, że zainteresowała opinię publiczną sprawami ocieplenia klimatu. Jako przyrodnik widzę jednak dosyć spore niebezpieczeństwo w traktowaniu spraw ochrony środowiska jako czegoś w rodzaju parareligii.

Nie jestem religioznawcą, ale nawet laik może dostrzec, że w obowiązującej teraz proekologicznej nar-

Społeczeństwo

racji mamy do czynienia z religijnymi schematami, takimi jak raj, czyli świat bez przemysłu, świeccy święci – czyli działacze ekologiczni, np. Greta, szatan – dla niektórych środowisk proekologicznych będzie to np. energia atomowa, dla innych – GMO. Grzechem pierworodnym jest w tym układzie każdy wpływ człowieka na środowisko.

Takie narracje nie są zresztą czymś nowym.

*Dyskusja na temat tego, jakie ideologie i ruchy **WCHODZĄ W MIEJSCE RELIGII W ZLAICYZOWANYCH SPOŁECZEŃSTWACH**, toczy się od dobrych kilkudziesięciu lat.*

Już w latach 90. były komentarze porównujące Greenpeace do krzyżowców, i to na łamach „New Scientist”.

Dzisiaj widzimy to m.in. w ruchu Black Live Matters czy tzw. „social justice warriors”, czyli pilnujących m.in. inkluzywności języka strażników sprawiedliwości społecznej, odmiany lewicowej tożsamości. Co ciekawe,

krytykują to także same podmioty działalności tych grup, czyli np. czarnoskórzy.

Czarnoskóry profesor Johh McWhorter określa ten współczesny antyrasizm jako nową religię, która zdradziła czarną Amerykę. Na łamach „The Atlantic” Hellen Lewis pisze artykuł „Jak sprawiedliwość społeczna stała się nową religią”, zrobiła też na ten temat dokument dla BBC pt. „The Church of Social Justice”.

Wracając na grunt ekologii, mamy przecież Extinction Rebellion ogłaszający niemalże koniec świata czy ostatnio ruch Just Stop Oil.

W tle brzmi narracja zmarłego w zeszłym roku brytyjskiego naukowca, Jamesa Lovelocka (twórcy koncepcji o Gai), mówiąca o tym, że zieloni faktycznie przejęli narrację chrześcijańską w swoim działaniu na rzecz ochrony przyrody.

Czym grozi robienie świeckiej religii z działalności na rzecz klimatu?

W moim przekonaniu to mocno osłabia dyskurs o ochronie przyrody i jest przeciwnie skuteczne. Zielony paradygmat traktowania Ziemi bez przemysłu jako raj

jest w istocie nihilistyczny, ponieważ zakłada koniec technologii.

Dla mnie, jako przyrodnika, realna ochrona przyrody, klimatu, bioróżnorodności to przede wszystkim ochrona skuteczna – człowiek ma tworzyć polityki, które są wdrażalne, racjonalne i które są politycznie do przyjęcia.

Jeżeli słyszę o „powrocie do natury”, od razu mam skojarzenia z rozproszonym OZE (panele fotowoltaiczne czy wiatraki na ogromnych obszarach) czy rolnictwem organicznym (bez stosowania nawozów, GMO i środków ochrony roślin), które nie poradzi sobie z głodem na Ziemi. Nie można w imię mitycznego powrotu do korzeni zniszczyć do końca bioróżnorodności i ekosystemów.

Myślenie o tym, że każdy z nas będzie miał domek pod lasem i skrawek gruntu, na którym będzie uprawiał warzywa i owoce, skończy się totalną dewastacją środowiska przyrodniczego.

Co ciekawe, ani „team Grety”, ani tym bardziej „team Tate”, nie są w stanie de facto zbawić świata.

Coraz częściej się mówi, że działania tzw. „middle class eco-warriors” („ekologicznych wojowników z klasy średniej) odbywają się ze szkodą dla narracji ochrony środowiska.

Niestety, muszę o potwierdzić, że mamy społeczny klincz w tej sprawie, który objawia się wtórnym negowaniem problemów środowiskowych. Jaki jest tego mechanizm? Jeszcze kilkanaście lat temu nikt rozsądny nie kwestionował naukowych podstaw potrzeby ochrony środowiska. Dzisiaj, kiedy nasze związki z nauką stały się coraz bardziej skomplikowane, mamy różne postawy.

Do niedawna ocieplenie klimatu kwestionowali konserwatyści, dzisiaj nawet oni przestali się ku temu skłaniać. Wydawałoby się więc, że jest naukowy konsensus w sprawie kryzysu klimatycznego i polityczne starania będą szły ku temu, by z nim walczyć.

Można oczywiście dyskutować, jakiej jakości są polityki klimatyczne, ale mają one wszystkie wspólną podstawę.

Spółeczeństwo

Natomiast, z moich obserwacji narracji tych ekologicznych wojowników z klasy średniej wynika, że im bardziej się oni radykalizują, czyli nawołują do mocnego ograniczenia konsumpcji, do przestania używania samochodów, korzystania tylko z rozproszonych źródeł energii, tym większy bunt budzi się w ludziach z innych grup społecznych gorzej sytuowanych.

Middle class eco-warriors są zwykle dobrze sytuowani, część z nich jest celebrytami, nic dziwnego, że

ich mesjanistyczna postawa: „ograniczajcie się” **KIEROWANA DO GORZEJ ZARABIAJĄCYCH** *czy wręcz „working class” – budzi wściekłość zwykłych ludzi.*

– Jakim prawem bogacze mają nas pouczać, jakimi samochodami mamy jeździć, ile mieć stopni w mieszkaniu i co mamy jeść – oburzają się ludzie na portalach materialistycznej lewicy czy libetariańskich. Mogę tę złość zrozumieć i nawet się z nią utożsamić. Natomiast fakt, że ludzie „dyscyplinowani” przez bogaczy do pra-

widłowych zachowań ekologicznych zaczynają w ogóle kwestionować potrzebę ochrony środowiska i przyrody, jest już bardzo niepokojący.

W jaki sposób ją kwestionują?

Twierdzą, że wcale nie jest tak źle, jak się wydaje, że wielkie wymieranie wcale nie jest prawdą, a z bioróżnorodnością jest świetnie. Że są ważniejsze problemy w życiu człowieka niż katastrofa klimatyczna. W jakiś sposób mają rację, natomiast wyłapuję w tej narracji ton totalnego zaprzeczenia rzeczywistości, który wynika z tego, że są zawstydzani i upokarzani jako ci bardziej nieświadomi.

Poza tym biedniejsi uważają, że bardziej uposażonych po prostu stać na bycie ekologicznymi i jest to wyznacznik ich statusu. Mamy więc klasyczny konflikt klasowy. W zderzeniu z powagą sytuacji, w której – jako ludzkość – się znaleźliśmy, skutecznie może zakłócać zgodę społeczną co do tego, czy i jak przeciwdziałać zmianom klimatu.

Boję się nowego wtórnego denializmu klimatycznego, który nie wyrasta z dyskusji naukowej, tylko

Spółeczeństwo

z wściekłości ludzi wobec siebie. Problemem chyba także jest to, że ochrona przyrody opuściła dyskurs inżynieryjno-naukowo-biologiczny, a stała się elementem tożsamości wojujących. Takich właśnie jak Black Lives Matter czy queer. I dlatego porozumienie jest problematyczne, bo tożsamość (zwłaszcza parareligijną) trudno jest dyskutować, trudno jest ją podważyć.

Bo jeżeli segregowanie śmieci nie jest zwykłym segregowaniem śmieci tylko elementem konstruującym czyjąś autonomię, rytuałem, takim jak pacierz – trudno będzie przyjąć argument, że „przecież to nie ma sensu” – a głosy merytorycznie kwestionujące zasadność segregowania – także się pojawiają.

Proszę spróbować powiedzieć to w Niemczech, gdzie kwestia segregacji śmieci jest elementem dobrego wychowania i bycia praworządnym obywatelem.

Wracamy tym samym do tych dwóch skonfliktowanych plemion, o których mówiłyśmy na początku. Kto może pomóc wybrać dobrą drogę w tej ślepej uliczce?

Wierzę w mądrość naukowców czy przyrodników, w ich racjonalizm i zdolność przekonywania w opar-

Spółeczeństwo

ciu o twarde dane naukowe w przypadku rozwiązań konkretnych problemów. Natomiast patrząc tak szerzej, od strony społeczno-ideologicznej, można sobie wyobrazić trzy drogi wyjścia z impasu.

Po pierwsze: zaprzestanie traktowania stosunku do ochrony środowiska jako elementu tożsamości, w szczególności grupowej – prawdopodobnie to jest już niewykonalne. Po drugie: starania, by ten temat był ważny w każdej bańce światopoglądowej – od konserwatystów po skrajną lewicę. I tu dobrą robotę wykonuje Klub Jagielloński z ich zielonym konserwatyzmem. Można też zaproponować całkiem nową jakość, poza obecnymi podziałami i polaryzacją, jak ekohumanizm proponowany przez nowopowstały ruch RePlanet, który zresztą ma bardzo silne polskie korzenie. 



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**

18+ Ok



GRALIŚCIE I **WY**GRALIŚCIE!

Jesteście Wielcy! Dzięki Wam 27 obiektów otrzyma dofinansowanie, które pozwoli na rozwój działalności sportowej i kulturalnej w Waszej okolicy.

Gratulujemy i dziękujemy!

#WYgrywamy Razem, bo WYgrywamy zaczyna się od WY

gramywygrywamy.pl





Fot. Kremlin.ru, Shutterstock, materiały prasowe

STACHANOWCY PROPAGANDY

*Ich twarze są doskonale znane i, w przeciwieństwie do szeregowych urzędników czy żołnierzy, **NIE MOGĄ WYKPIĆ SIĘ OD ODPOWIEDZIALNOŚCI MÓWIĄC, ŻE TYLKO WYKONYWALI ROZKAZY.** Jeśli są jeszcze w tych ludziach jakiegokolwiek emocje, to życzyłbym sobie, żeby przyśnił im się kiedyś kołyszający się na stryczku Julius Streicher. Jego losu niestety raczej nie podzielą. Oto czołowi propagandyści Putina.*



Tekst: **Miłosz Szymański**

•
Zadnej wojny Rosji z Ukrainą nigdy nie będzie, bo dowolny człowiek, który na poważnie próbuje uzasadnić tego typu akt jest przestępcą, przy czym nie umiem sobie wyobrazić jakiego rozmiaru. W Ukrainie żyją absolutnie nam bratni po duchu, po krwi, po wspólnej historii ludzie, z którymi wojna jest najstraszniejszym przestępstwem, jakie można sobie wyobrazić. Nie wolno krzyczeć »Sewastopol nasz«, nie wolno krzyczeć »Krym nasz«. Trzeba zrobić tak, żeby życie w naszym kraju było na tyle atrakcyjne, żeby Ukraińcom, Białorusinom, Mołdawianom, Ormianom, Gruzinom, wszystkim zachciało się żyć z nami w pokoju i przychodzić do nas. No bo inaczej to my zawsze krzyczymy »chodźcie szybko do nas« – no kto będzie kochać takich ludzi?”

Tę trzeźwą analizę sytuacji jeszcze w 2008 r. przedstawił podczas występów w Moskiewskim Teatrze Akademickim sam Władimir Sołowjow. Kiedy w Kijowie trwały już protesty euromajdanowe, w tym samym te-

Zagranica

atrze Sołowjow miał kolejne występy. Został wtedy zapytany przez widzkę, co sądzi na temat możliwego zwrotu Krymu. Odpowiedział: „Nie daj Boże. Jak pani sobie to wyobraża? (...) Po pierwsze nie ma żadnej prawnej podstawy ku temu. No nie daj Boże, a po co pani Krym? A dlaczego Krym? A dlaczego nie Finlandię, która też była nasza? A dlaczego nie Polskę? A dlaczego nie republiki centralnoazjatyckie? Czemu zatrzymujemy się na 1991 r., a może powinniśmy przywrócić Imperium Rosyjskie w granicach z 1905 r? W którym momencie historii będziemy ustalać co wolno, a co nie? Czemu wybieramy czasy Chruszczowa? Przecież on oddał Krym absolutnie legalnie, były specjalne akty prawne. Jeżeli mówimy o zwrocie, to oznacza wojnę. Chce pani walczyć z Ukrainą? Ile ukraińskich i rosyjskich żyć jest gotowa pani poświęcić, żeby przejąć Krym? Krym, który już dawno jest terytorium Tatarów Krymskich, pani chce ich eksterminować? (...) Pani myśli, że świat się na to zgodzi?”.

Obie wypowiedzi można sobie zobaczyć w Internecie i porównać sobie z tym, co Sołowjow mówi dziś i co

mówił zaledwie cztery miesiące po debacie z widzką, kiedy Rosja anektowała Krym. Pytanie brzmi, czy szczerzy był wtedy, czy jednak szczerze mówi teraz, gdy nawołuje do ludobójstwa, rozstrzeliwania opozycjonistów, wojny światowej i atomowej apokalipsy?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, potrzebna jest odrobina kontekstu.

Wykłady w USA i wille we Włoszech

Władimir Sołowjow urodził się w Moskwie, w rodzinie inteligenckiej pochodzenia żydowskiego. Ukończył elitarne liceum anglojęzyczne dla dzieci partyjnej elity. Później ukończył metalurgię i zrobił doktorat z ekonomii, po czym wrócił do swojego liceum jako nauczyciel matematyki, fizyki i astronomii.

W 1990 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie otrzymał etat wykładowcy na University of Alabama. Wrócił po kilku latach do Moskwy i otworzył sklep oraz wypożyczalnię sprzętu dyskotekowego. Karierę w mediach zaczął dopiero w 1999 r. od prowadzenia talk-show i robi do dziś. W międzyczasie zrobił także kilka



Władimir Sołowjow

<< SPIS TRESCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

Zagranica

filmów dokumentalnych, m. in. „Mussolini. Zmierzch” – pełen współczucia do dyktatora i sugerujący, że przeżył on wojnę oraz „Prezydenta”, będącego wiernopoddańczym hołdem dla geniusza, który przyłączył Krym do Rosji.

Ten drugi film powstał w 2015 r., a poglądy Sołowjowa na Krym i wojnę z Ukrainą zmieniły się z dniem aneksji. Ale czy na pewno?

W telewizji można było każdego dnia zobaczyć Sołowjowa, jak pomstuje na wraży Zachód, wygraża bronią atomową, znajduje kolejnych faszystów wśród ukraińskich władz i nawołuje do walki ze wszystkimi, którzy są przeciwni Rosji.

W tym samym czasie za ciężko zarobione pieniądze kupował kolejne wille we Włoszech. Szczególnie upodobał sobie jezioro Como, nad którym zbudował okazałą rezydencję, dobudowując do niej dwie kolejne w ostatnich latach.

Nie wiadomo, czy trzymał w nich medale, które dostał od Putina za wierną służbę ojczyźnie, ale na pewno lwią część swojego majątku ulokował poza Rosją.

Homofobia i osiem żon

Podobną biografię ma inny gwiazdor rosyjskich mediów – Dmitrij Kisieliow. Urodził się w Moskwie, w rodzinie z koneksjami i częściowo ukraińskim pochodzeniem. Ukończył skandynawistykę i od końca lat 70. pracował w mediach.

Specjalizował się w sprawach zagranicznych i przez kilkanaście lat niczym się nie wyróżniał. Trudno jest mówić o jego poglądach z tamtych czasów, ale wiele wskazuje, że jeszcze w styczniu 1991 r. miał jakiś kręgosłup. Wtedy to dostał polecenie odczytania na wizji oficjalnej wersji wydarzeń wileńskich. Między 11 a 13 stycznia Armia Radziecka zabiła kilkunastu i raniła prawie tysiąc cywilów pod wieżą telewizyjną w Wilnie. Kisieliow odmówił i na kilka miesięcy wyleciał z pracy w państwowej telewizji.

Nie przymierał jednak głodem, bo dorabiał jako korespondent dla telewizji niemieckich. Kilka lat później dostał nawet grant od Komisji Europejskiej, dzięki któremu utworzył kanał telewizyjny „Okno na Europę”,



Dmitrij Kisieliow

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

Zagranica

w którym przybliżał Rosjanom kontynent, krzewił demokrację i prawa człowieka. Dziś za podobną działalność byłby uznany za agenta zagranicy, ale za Jelcyna Rosja była inna.

W czasach wczesnego Putina Kiseliow pracował w Kijowie. Znów został wyrzucony z pracy, tym razem jednak za przekłamywanie rzeczywistości. To było w czasach Pomarańczowej Rewolucji, a znając jego późniejsze dokonania, nie powinno to dziwić.

Wśród tych późniejszych dokonań jest chociażby potężna tyrada pod hasłem „Ukraina to państwo fikcyjne” z czasów wojny na Donbasie. Później już poszło szybko, bo cały aparat propagandowy przestawił się po 2014 r. na opowieści o faszystach ukraińskich, ludobójstwie na Donbasie, naszym Krymie, straszeniu bombami atomowymi i genialnym wodzu Władimirze Władymirowiczu.

Przy okazji warto wspomnieć, że Kisieliow mówi także o zagrożeniach, jakie dla tradycyjnej rodziny niesie homoseksualizm. Wspomniał kiedyś na wizji o tym, że homoseksualiści nie powinni być dawcami krwi ani

organów. Kisieliow ceni sobie tradycyjny model rodziny i to tak bardzo, że aktualnie jest żonaty po raz ósmy.

Proputinowskie przez całe życie

W przeciwieństwie do obu panów opisanych wyżej Olga Skabiejewa nie przeszła nigdy publicznej transformacji ideologicznej. Wydarzyło się tak pewnie dlatego, że studia skończyła za czasów tzw. „prezydentury” Miedwiediewa, a wypłynęła po oczekiwanej zamianie miejsc z Putinem, kiedy w Rosji miały jeszcze miejsce protesty i można było zaobserwować jakąś wolność słowa.

Wtedy w 2012 r. odbywały się masowe protesty na Placu Błotnym w Moskwie i występy Pussy Riot, Skabiejewa oba zjawiska uważała za równie szkodliwe co plaga szarańczy. Od tamtej pory do jej portfolio doszło jeszcze nawoływanie do ludobójstwa i wojny atomowej, czyli standardowy zestaw rosyjskiego propagandy.

Na pewno bez związku z powyższym pozostaje fakt, że razem z mężem, Jewgienijem Popowem, z którym



Olga Skabiejewa

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >>

Zagranica

prowadzi swoje telewizyjne sesje nienawiści, posiadają nieruchomości, których wartość wielokrotnie przekracza ich oficjalne dochody.

Last but not least mamy jeszcze Margaritę Simonjan, która, podobnie jak Skabiejewa, jest zbyt młoda by zdążyć zabłysnąć poglądami innymi niż proputionowskie. Trzeba jej jednak oddać, że w przeciwieństwie do Skabiejewej nie jest tępym narzędziem propagandy i dysponuje pewnym intelektem; m. in. dlatego w 2005 r., w wieku 25 lat, kiedy większość dziennikarzy dopiero pracowała na swoje nazwisko, została mianowana redaktorką naczelną telewizji Russia Today.

Dziś, jak i wtedy, RT zajmuje się pompowaniem kremlowskiego ścieku dla audytorium anglojęzycznego.

Profesjonalne narzędzia władzy

Wszyscy opisani powyżej, podobnie jak i wielu innych szeregowych czynowników rosyjskiego aparatu propagandowego, prawdopodobnie mają jakieś poglądy. Prawdopodobnie w coś wierzą i całkiem możliwe, że

Zagranica

musieli dojrzewać do przedstawianej przez siebie wizji rzeczywistości. Jednak deklaracje o złym Zachodzie, tej zepsutej Gejropie i siejących zniszczenie Stanach Zjednoczonych słabo się mają do ociekających tandetą rezydencji we Włoszech czy na Florydzie. Podobnie jak mówienie o braku wolności słowa na Zachodzie pisane na Twitterze, który zablokowany jest w Rosji.

Można analizować i psychologizować, żeby dokopać się do prawdziwych uczuć i przemyśleń, jakie w sobie mają ci ludzie. Można im wyciągać przeszłość i zarzucać hipokryzję i zakłamanie. Można komentować ich twitty i cieszyć się własnymi celnymi ripostami. Moim zdaniem jednak szkoda na to czasu i energii.

Cokolwiek by o nich nie myśleć, są to profesjonaliści, którzy zarabiają bajeczne pieniądze na propagowaniu czegokolwiek, co dostaną z Kremla. Oni nie muszą w to wierzyć, bo nie z żarliwego zapału każdego dnia swoją twarzą firmują ludobójstwo, wojnę i terror.

Gdyby jutro otrzymali polecenie, żeby mówić, że Rosja zawsze była przyjaciółką Stanów Zjednoczonych i że

Zagranica

Zelenski to mąż stanu, to tak właśnie zaczną mówić. Jeśli się okaże, że władza życzy sobie mówić, że w homoseksualizmie nie ma nic złego, to każde z nich będzie opowiadać o swoich bliskich przyjaciółach gejach.

Wszystko to, co sprzedawane jest przez nich jako ich poglądy i przemyślenia, jest niczym innym jak przekazem władzy, którego jej ustami nie wypada podawać dalej. Nie ma tu także znaczenia, że w ich programach czasami pojawia się zdanie odrębne, jakiś „ekspert” mówiący o pokoju albo zaletach Zachodu, bo on jest tam umieszczany właśnie po to, żeby zostać skrytykowanym i dostarczyć gawiedzi argumentów na idiotyzm takich poglądów.

Propagandyści są tylko narzędziami sprawowania władzy. Sowicie opłacanymi i obsypywanymi medalami państwowymi. Ich osobiste poglądy nie mają znaczenia, a im szybciej pozbędą się jakichkolwiek poglądów poza wiernością wobec władzy, tym lepiej dla nich. Nie znaczy to jednak, że są niewinni.

Ich twarze są doskonale znane i w przeciwieństwie do szeregowych urzędników czy żołnierzy nie mogą

Zagranica

wykpić się od odpowiedzialności mówiąc, że tylko wykonywali rozkazy. Jeśli są jeszcze w tych ludziach jakiegolwiek emocje, to życzyłbym sobie, żeby przyśnił im się kiedyś kołyszący się na stryczku szef nazistowskiego „Der Stürmera” Julius Streicher. Jego losu niestety raczej nie podziela. Do tego potrzebna byłaby w Rosji zmiana reżimu na taki, któremu potrzebni będą dziennikarze, a nie propagandyści, a na to się nie zapowiada. 



LEKARZE POD BOMBAMI

Bachmut, 18.12.2022 r. - w czasie najcięższych walk wolontariusz z organizacji medycznej Frida w piwnicy przygotowuje pacjenta do badania USG.

Fot. Libkos/Associated Press/East News

SZPITAL W PIWNICY W BACHMUCIE, BOMBARDOWANE PORODÓWKI W MARIUPOLU, CHERSONIU CZY WILNIAŃSKU, medycy pracujący w warunkach polowych i lekarze, którzy próbują nie poddawać się do końca. Tak pracuje, bo ciągle jednak pracuje, system opieki zdrowotnej w ogarniętej wojną Ukrainie.



Tekst: **Karolina Baca-Pogorzelska**

Historię z Wilniańska zna wielu. W listopadzie w bombardowaniu placówki zginął dwudniowy chłopczyk. Obrazki z Mariupola z początku pełnoskalowej wojny w Ukrainie chyba też nikomu nie są obce. Słynne zdjęcia Jewgienija Małoletki obiegały świat i były wielokrotnie nagradzane. Bombardowanie donbaskiej porodówki Rosjanie tłumaczyli tym, że ich zdaniem była tam baza pułku Azow, na którego punkcie mają obsesję od 2014 roku.

Zagranica

W obleżonym od sierpnia Bachmucie szpitale też są pod ciągłym ostrzałem, lekarze pracują w piwnicach. Porody i operacje często odbywają się tylko przy świetle latarek. W Chersoniu, tuż po deokupacji, została ostrzelana porodówka. Bo dla ruskich nie ma żadnej świętości.

Mimo wszystko, ukraińscy lekarze, często również wspomagani przez medyków z zagranicy, w tym z Polski, walczą o każde życie – zarówno na froncie, jak i przy linii frontu, ale też w szpitalach w tych miejscach, które pozornie uważane są za bezpieczniejsze (centrum i zachód Ukrainy).

Łańcuch życia

Ekipie kilkudziesięciu medyków przyfrontowych „Awangarda” prowadzi Katarzyna „Ruda” Daniszewska. W rozmowie z „Wprost” przyznaje, że wyzwania dotyczące pomocy medycznej są skrajnie różne.

– Na różnych odcinkach frontu spotykamy się z odmienną sytuacją zarówno jeżeli chodzi o możliwości dotarcia do rannych jak i stany zaopatrzenia w punk-

Zagranica

tach stabilizacyjnych. Największym wyzwaniem jest więc, chyba elastyczność w każdej sytuacji, ponieważ bywają one skrajnie różne – mówi „Wprost” Daniszewska.

– *System ratowania ludzi **NIE BYŁ PRZYGOTOWANY NA WOJNĘ**, to możemy stwierdzić z pełną świadomością. Nikt nie spodziewał się wojny na taką skalę,*

medykom brakuje przeszkolenia z zakresu medycyny pola walki. Również dziś w Polsce nie istnieją odpowiednie struktury Obrony Cywilnej, które przejęłyby część ciężaru ratowania cywili i wojskowych. Mimo wszystko połączony wysiłek narodu ukraińskiego i wsparcie wolontariuszy z zagranicy uzupełnia luki w systemie i buduje tzw. łańcuch życia z takimi ogniwami jak punkty stabilizacyjne czy medevac – tłumaczy polska medyczka.

Wcześniej „Wprost” był pierwszą redakcją, która pracowała z polskimi medykami ekipy Damiana Dudy

Zagranica

na ukraińskim froncie, na odcinku chersońskim na początku lipca, gdy obwód ten był jeszcze w większości pod rosyjską okupacją.

Opisywaliśmy również historię Darii Wołkowej z Sołedaru, która do maja była jedyną lekarką na kilkutyśieczne miasto, bo wszyscy inni wyjechali. Dziś Daria mieszka w Słowiańsku, myślała, by dołączyć do polowych medyków, ale armia nie zgodziła się, by pracowała w tej samej jednostce, co jej mąż, który został wcześniej ranny.

– Mam 40 lat, może przyjdzie i czas na dzieci, nie mogę zdecydować się na kilkuletni kontrakt, jaki został mi zaproponowany – mówi „Wprost” sołedarska lekarka, którą ruscy okupanci najpierw wypędzili z Doniecka, gdzie prowadziła prywatną praktykę lekarską, później z rodzinnej Marijinki, gdzie wróciła po rozpoczęciu działań wojennych w 2014 roku, wreszcie z Sołedaru, z którego wyjechała w drugiej połowie maja 2022 roku (dziś miasto niedaleko Bachmutu jest przez okupanta równane z ziemią).

Prąd najważniejszy

Ukraińscy lekarze starają się jednak działać na ponad 100 procent swoich możliwości. Jak na skrajną sytuację, w jakiej znajduje się nasz wschodni sąsiad, system opieki zdrowotnej wcale się nie załamał. Oczywiście również dzięki ogromnej pomocy z Zachodu, w tym z Polski, skąd dociera sprzęt medyczny. Bo w szpitalach albo go brakuje, albo się psuje, albo ukradli go ruscy. Tak było m.in. w Chersoniu.

– Nie zabrali nam wszystkiego, owszem, głównie interesowały ich komputery, ale zabierali też RTG czy USG, a bez tego naprawdę ciężko – mówi nam Tetiana z chersońskiego szpitala, która pracowała w placówce każdego dnia podczas okupacji.

Dziś sprzęt medyczny trafia do Ukrainy, co pomaga szpitalom funkcjonować. W Charkowie w zasadzie wszystkie specjalistyczne placówki medyczne działają bez zakłóceń. Oczywiście największym problemem są przerwy w dostawach energii elektrycznej, ale placówki medyczne są stale zaopatrywane rów-

Zagranica

nież w generatory prądotwórcze, co poprawia im warunki działania.

„Na porodówkach czy oddziałach specjalistycznych to najważniejsze – by nie wyłączyły się inkubatory czy **ŻEBY NIE PRZESTAŁA DZIAŁAĆ APARATURA** podtrzymująca życie, m.in. funkcje oddechowe.

W większości kraju dostęp do służby zdrowia, w tym państwowej, jest w miarę stabilny. Na państwowego dentystę na przykład trzeba poczekać dwa – trzy miesiące, ale interniści przyjmują w miarę na bieżąco, choć mają co robić.

Antybiotyki bez recepty

Dziś w Ukrainie atakują wszystkie rodzaje chorób dróg oddechowych. Jest i koronawirus, bo stopień wyszczepienia jest mniejszy niż w Polsce. Szaleje grypa, jak w całej Europie. Chorują cywile, chorują

Zagranica

wojskowi, bo każdy żyje w ciężkich warunkach. Ci ostatni marzną w okopach, ci pierwsi często z powodu braku prądu nie mają również ogrzewania. Spotkać na wschodzie kraju kogoś, kto nie kaszle, niemal graniczny z cudem.

Tu jednak nie każdy idzie do lekarza, bo dostępność leków jest inna niż na przykład w Polsce – w aptece można kupić nawet antybiotyki bez recepty. I choć w reklamach są ostrzeżenia o tym, że „samolekowanie” może być niebezpieczne, nikt się tym za bardzo nie przejmuje.

Często na tej pierwszej linii chorobowego frontu stają farmaceuci, bo to do nich do aptek przychodzą chorzy rezygnując z wizyty u lekarza.

O jakiegokolwiek oficjalne statystyki śmierci w Ukrainie jest bardzo trudno, bo to tajemnice skrzętnie ukrywane w stanie wojny przez naszego wschodniego sąsiada, ale i tak można zaryzykować stwierdzenie, że jak na tak ciężkie warunki, z jakimi zmagają się zarówno chorzy, jak i medycy, sytuacja wciąż jest pod kontrolą.

Zagranica

Styczeń i luty będą jednak dla lekarzy wielkim wyzwaniem, bo choruje coraz więcej osób, a i prognozy pogody nie są łaskawe – w najbliższych dniach na wschodzie kraju prognozowanych jest nawet kilkanaście stopni Celsjusza na minusie. 

MOJE ŻYCIE SIĘ NIE SKOŃCZYŁO

Wolontariusze z Polski jadą z pomocą do Bachmutu, mimo że niektóre drogi dojazdowe są ostrzeliwane albo już zniszczone.



Zagranica

*Grażyna Aondo-Akaa i Kamil Moskal z krakowskiej fundacji „Klika”, ranni w ubiegłym tygodniu na Donbasie, są już w Polsce. **KAMIL JAK NAJSZYBCIEJ CHCE WRÓCIĆ POMAGAĆ W UKRAINIE, GRAŻYNA ZOSTAJE „NA SUPORCIE”**. To był ich kolejny wyjazd do Bachmutu i nic nie wskazywało na to, że będzie się czymkolwiek różnił od poprzednich. Zwłaszcza, że pracowali z lokalnymi wolontariuszami w teoretycznie najbezpieczniejszym miejscu, tzw. „punkcie niezłomności”, gdzie ludzie przychodzą się ogrzać, naładować telefony czy coś zjeść.*



Tekst i zdjęcia: **Karolina Baca-Pogorzelska**

25 LISTOPADA 2022 R. „Hejooo, raport z poranka. Spakowaliśmy auto, jedziemy po kamizelkę i leki, 11 bardziej idealna niż 10.30” – pisze Grażyna w dniu pierwszego wyjazdu do Bachmutu.

Tam, gdzie ludzie ich potrzebują

Wszystko przygotowane wcześniej, wsparcie wojska na miejscu również. Standardowy wyjazd, budżetowy, by zmieścić się w jednym aucie. Bus „Kliki” przypakowany, ale z Charkowa przez Izium do obwodu donieckiego jedzie się już względnie normalnie, więc damy radę.

Kamil za kierownicą zdaje się tym w ogóle nie przejmować. Dojeżdżamy w umówione miejsce po południu, powoli się ściemnia. Ale wojskowi mówią, że spokojnie możemy jechać w umówione miejsce przekazania pomocy humanitarnej tym, którzy z Bachmutu nie wyjechali, mimo toczących się tam ciężkich walk.

Dostajemy przewodnika i szybko jesteśmy na miejscu. Sytuacja trudna, ale stabilna. Co chwilę ostrzał. Niedaleko magazynu jakiś przylot. Wyjeżdżamy i wracamy do bazy.

– Rano na spokojnie ocenicie sytuację w mieście
– obiecują wojskowi.

O ile słowo „na spokojnie” w ogóle od sierpnia może



Niewiele takich miejsc, gdzie prawie nie widać zniszczeń, można dzisiaj znaleźć w Bachmucie.



Murale z radosnymi postaciami to tylko wspomnienie czasu pokoju, ale nadzieję niesie to, że ocalały i trwają.



Targowisko między blokami mieszkalnymi częściowo spalone w następstwie rosyjskiego ostrzału.



W Bachmucie pozostało jeszcze niewiele ponad 10 tys. mieszkańców, w tym 350 dzieci.

Zagranica

pasować do Bachmutu. Przez dwa miesiące, odkąd byłam tam ostatni raz zmieniło się dosłownie wszystko. Już w listopadzie w mieście, które do lutego liczyło ok. 75 tys. mieszkańców ciężko było znaleźć jakikolwiek budynek, który nie był uszkodzony.

26 LISTOPADA Grażyna i Kamil w dzień mogli zobaczyć dramat rozdzierający Bachmut, w którym wtedy wciąż pozostawało 15 tysięcy ludzi.

– My zawsze jesteśmy tam, gdzie ludzie nas najbardziej potrzebują. I właśnie Bachmut za takie miejsce uznaliśmy, dlatego zdecydowaliśmy się tam jeździć – mówi mi Grażyna.

Za kilka dni byli tam z powrotem.

350 dzieci

10 GRUDNIA przygotowaliśmy kolejny duży transport,

11 GRUDNIA wyjechaliśmy do Bachmutu. Dwa dni przed nim na wjeździe do Bachmutu od strony Słowiańska zbombardowali wiadukt, trzeba było zmienić trasę i wjechać od strony Konstantynówki. Tym razem dzięki opancerzonemu samochodowi medycy Oksany Czor-

Zagranica

nej z 57. brygady czuliśmy się teoretycznie bezpiecznie. Ale Kamil i Grażyna jechali za nami swoim czerwonym busem.

– Jedziesz 20 metrów za mną.

„*Jak zacząć strzelać, jedziemy dalej prosto, chyba że powiem co innego. Musimy to zrobić szybko i inną trasą, bo **TAM, GDZIE MIELIŚMY JECHAĆ, WCZORAJ NAS OSTRZELALI***”

– medyczka instruuje Kamila, pokazując popękaną kuloodporną szybę opancerzonego bankowozu.

Konstantynówka, Czasowy Jar, Bachmut, wyładowanie dwóch aut, cisza, ostrzał, ostrzał, cisza.

Grażyna i Kamil udzielają jeszcze towarzyszącej nam ekipie TVP wywiadu o pomocy, o ich pracy w Charkowie, o tym, dlaczego decydują się na Bachmut. Bachmut, z którego nadal nie wyjeżdża (stan na wtedy) jakieś 10 tysięcy ludzi. Tak, część oczywiście czeka na ruskich wyzwolicieli, część pije, część nie chce.

Zagranica

Sytuacja Bachmutu jest wyjątkowo niejednoznaczna. Ale w mieście pozostaje wciąż ok. 350 dzieci, w tym część chorych.

Grażyna jest specjalistką pedagogiki specjalnej i niepełnosprawności ruchowej. Wie, że nie zostawi ich tu tak po prostu.

Źle, ale stabilnie

Wyjeżdżamy bezpiecznie, wracamy do Charkowa, a ona już mówi o kolejnym wyjeździe do Bachmutu.

Trzeba zawieźć 500 bochenków chleba, materiały kreatywne dla dzieci – już robi listę. Święta? Jakie święta.

Ani ona ani Kamil nie wybierają się do Polski. Pracują w Charkowie, jak co dzień, szykują się na wyjazd po Nowym Roku do Bachmutu. Ja wyjeżdżam na granicę obwodu charkowskiego i ługańskiego, tym razem nie dołączę. Ale oni mają już doświadczenie i kontakty z lokalnymi wolontariuszami.

6 STYCZNIA 2023 ROKU. Wigilia prawosławnych świąt Bożego Narodzenia. Nie ma żadnych dodatko-

Zagranica

wych ostrzeżeń, by w Bachmucie coś się zmieniło w ostatnich dniach. Żle, ale stabilnie.

Wyjeżdżają jak zawsze z Charkowa. Na miejscu umówieni z lokalnymi wolontariuszami w przedszkolu, w „punkcie niezłomności”, teoretycznie bezpieczniejszym miejscu miasta, gdzie ludzie przychodzą się ogrzać, naładować telefony, zjeść coś.

„Cholernie bolało”

Kamil jest w aucie, wypakowuje towar, Grażyna i dwójka ukraińskich wolontariuszy na dworze, szykują rozdawanie paczek. I wtedy przyleciało.

– Ja ci nie powiem, czy to był atak mózdzierzowy, bo tego dowiedziałam się od ministra zdrowia, ja ci powiem, że cholernie bolało. Prawą stopę urwało mi na miejscu. Lewą nogę połamało i przebiło na wylot. Kamil dostał odłamkiem w nogę i zajął się mną. Założył stazy. Bez niego już bym nie żyła – mówi Grażyna.

Jeden z ukraińskich wolontariuszy ma poranioną twarz, drugi dostał w plecy. Nie ma łączności, bo naj-



Samochód Grażyny i Kamila, wypełniony po sufit artykułami, na które czekają mieszkańcy Bachmutu.



Rozładowany transport czeka na szybką dystrybucję wśród potrzebujących.

Zagranica

prawdopodobniej uszkodzony został Starlink. Ktoś przynosi radio, ktoś wzywa wojsko.

Grażyna cały czas jest przytomna. Przez cały czas oczekiwania na pomoc mówi Kamilowi, co ma robić, gdyby nie przeżyła – że w pierwszym punkcie niezłomności zobaczyła nadpopulację ludzi z niepełnosprawnością intelektualną i chce, żeby świat się o tym dowiedział. Na szczęście będzie mogła o tym mówić sama.

– Nie wiem, ile czekaliśmy na transport, straciłam poczucie czasu.

*Przyjechało auto, trafiłam do punktu pierwszej pomocy w Bachmucie, **TAM MNIE POZSZYWALI, OPATRZYLI**, znieczulili i karetka zabrała mnie do szpitala*

w Pawłohradzie. Nie miałam telefonu. 27 godzin nie miałam kontaktu z Kamilem, nie wiedziałam czy on w ogóle żyje – relacjonuje wolontariuszka.

Okazało się, że wszystkie jej rzeczy były w depozycie szpitala, ale Kamil wiedział, jak ją znaleźć. Musiał

Zagranica

zostać w Bachmucie wymienić uszkodzone koła w samochodzie. Potem od razu pojechał do niej. Jemu na razie lekarze zostawili odłamek w nodze, bo operacja może być bardziej inwazyjna niż to.

„Dobre rady” z Internetu

Do poniedziałku pozostawali w ukraińskim szpitalu, skąd zostali przetransportowani do szpitala w Lublinie.

– 18 godzin trwała ta podróż. Ja bez Kamila bym jej nie przeżyła. W mediach czytam, że lekarze walczą o uratowanie mojej drugiej nogi, ale ja słucham lekarzy. A oni mówią, że to ma być noga podporowa i trzeba ją po prostu doprowadzić do najlepszego stanu. Prawa jest amputowana do kolana. Czeka mnie długie leczenie, a później protezowanie, pewnie nie od razu udane, ale ja wiem, że nie będę kaleką, że nie będę niezdatna, że moje życie się nie skończyło. Siłę daje mi moje zawodowe doświadczenie, świadomość tego, co mnie czeka i ogromne wsparcie z zewnątrz – opowiada dziewczyna.

– Wiem, że stanę na nogi i założę sukienkę. I myślę, że moje leczenie skończy się szybciej, niż wojna w Ukra-

Zagranica

inie. Do Bachmutu już nie wrócę, chyba, że nie będzie tam frontu. Na linię frontu już nie wrócę, ale do Ukrainy bym chciała – dodaje.

– Razem wracamy, ja do Charkowa, a ona na supercie. Dla tych, którym pomagaliśmy to będzie ważne świadectwo. Trzeba zmieniać ten chory świat – mówi Kamil.

On sam jest już w Krakowie. Grażyna śmigłowcem trafi tam do szpitala w poniedziałek. Czeka ją minimum 1,5-3 miesiące żmudnego leczenia w szpitalu.

– Nie martw się, mam materac przeciwodrażynowy, suchy szampon i sok pomarańczowy, niczego mi nie trzeba – mówi Grażyna.

„Dobre rady” w internecie czyta: miała siedzieć w domu i opiekować się niepełnosprawnym mężem, a nie włączyć po wojnie.

– Moja przyjaciółka napisała już w social mediach, że ci znawcy mają nieaktualne informacje – śmieje się Grażyna, która właśnie się rozwiodła.

Umawiamy się na spotkanie w Krakowie. A w lecie poszukamy jakichś fajnych sukienek. 



*Szanghaj,
3.01.2023 r. -
chorzy, głównie
osoby starsze,
czekają na przy-
jęcie do szpitala
Changhaji.*

KONIEC POLITYKI „ZERO COVID”

Trzy lata od wykrycia pierwszego przypadku COVID-19, Chiny decydują się na koronawirusową rewolucję. Państwo, które najdłużej na świecie utrzymywało obostrzenia, nie będzie już masowo testować swoich obywateli, wprowadzać kwarantanny ani lockdownów.

NOWA POLITYKA ZAKŁADA, ŻE CHIŃCZYCY COVID PRZECHORUJĄ. – To oznacza co najmniej milion ofiar – mówi dr Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich.



Tekst: **Michał Banasiak**

Według danych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), na COVID-19 zmarło do tej pory ponad 6,7 mln osób. Chińskie władze podają, że w tej liczbie jest niespełna 5,5 tysiąca Chińczyków. To mniej niż raportują dwumilionowa Łotwa czy licząca pięć milionów Kostaryka.

Gdyby te dane były prawdziwe, w przeliczeniu na milion mieszkańców mniejszą śmiertelność od Chin miałyby tylko cztery kraje: Korea Północna, Burundi oraz Watykan i Tuvalu – dwa ostatnie nie zarejestrowały dotychczas żadnego koronawirusowego zgonu.

– Uważamy, że liczby publikowane przez Chiny zaniżają prawdziwy wpływ choroby na liczbę hospitalizacji, liczbę zajętych łóżek intensywnej terapii, a w szczególności na liczbę zgonów – mówi w możliwie najbardziej dyplomatyczny sposób Mike Ryan z WHO.

W chińskie statystyki nie wierzy nikt. Zwłaszcza, że Pekin oficjalnie przyznaje, że rachuje inaczej niż reszta świata.

Zagranica

– Covid-19 jest rejestrowany jako przyczyna zgonu tylko w przypadkach, gdy pacjenci umierają z powodu niewydolności oddechowej. Przy innych powikłaniach, takich jak zatorowość płucna czy problemy z krążeniem, wpisywana jest inna jednostka chorobowa – tłumaczy dr Andrzej Jarynowski, epidemiolog z Freie Universität w Berlinie.

*Faktyczną liczbę ofiar pandemii w Chinach trudno choćby oszacować. Na przeszkodzie stoi nie tylko **ZAMAZYWANY PRZEZ WŁADZE OBRAZ WALKI Z CHOROBA,***

ale też zupełnie inna niż w USA i w Europie strategia walki z COVID-em.

Podczas gdy decydenci na Zachodzie próbowali różnych rozwiązań i reagowali na rosnące przypadki zachorowań czy nowe warianty koronawirusa, Chińczycy pozostawali konsekwentni w stosowaniu tej samej taktyki: testować, izolować, unikać kontaktu.

Zagranica

Restrykcyjna polityka faktycznie ograniczała liczbę nowych zakażeń, ale była kosztowna gospodarczo i zaczęła frustrować część mieszkańców kraju. Doszło do niespotykanych w Chinach protestów przeciwko pandemicznym obostrzeniom.

Porzucenie polityki „zero COVID” nastąpiło nagle. Jeszcze w listopadzie w trzydziestomilionowym Chongqing wznoszono tymczasowy szpital dla osób poddawanych kwarantannie, by niemal z dnia na dzień całkowicie od niej odstąpić. Nie ma już codziennego testowania, zamykania osiedli czy skanowania kodów QR przy wchodzeniu do zamkniętych przestrzeni publicznych. Pozornie wszystko wraca do przedpandemicznej normy. Ale ten powrót naznaczony jest dużymi turbulencjami.

Kosztowna zmiana

– Rezygnacja z polityki „zero COVID” oznacza falę zachorowań i liczne ofiary – sami Chińczycy szacują, że co najmniej milion. Ich system opieki zdrowotnej nie jest w stanie tego wytrzymać, bo Chiny są paradoksem.

Zagranica

Mają zagęszczenie populacji większe niż w zachodniej Europie, z dużą częścią starszych obywateli, a do tego system opieki zdrowotnej na poziomie państw rozwijających się – mówi dr Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich.

Brytyjski ośrodek prognostyczny Airfinity szacuje, że w styczniu Chiny przekroczą liczbę trzech milionów nowych zakażeń dziennie. Te przewidywania trudno będzie jednak sprawdzić, bo chińskie władze odchodzą od polityki masowego testowania. Wzrost zachorowań jest jednak zauważalny gołym okiem.

– Szczyt zgonów, jak i ciężkich przypadków, następuje właśnie teraz i widzimy obrazki z przepełnionych szpitali, gdzie pacjenci otrzymują kroplówki na parkingu przed wejściem. Przepełnione są też krematoria i chłodnie, w których trzymane są ciała zmarłych – mówi mieszkająca w Szanghaju Weronika Truszczyńska – współprowadząca podcast „Mao powiedziane”.

Zachorowania, które w państwach europejskich rozłożyły się na kilka fal, w Chinach kumulują się w jedną. W placówkach medycznych brakuje zdrowego perso-

Zagranica

nelu. W Szanghaju do prowadzenia karetek oddelegowano taksówkarzy. W Suzhou – kierowców autobusów.

– Do Chińskiego Nowego Roku ma zachorować nawet 90 proc. społeczeństwa. Możemy opierać się jedynie na szacunkach, bo w pewnym momencie rząd przyznał że nie jest w stanie tego policzyć – mówi Weronika Truszczyńska.

„*Współczynnik reprodukcji wirusa wynosi tam teraz więcej niż 15. To oznacza, że **KAŻDY CHORY ZARAŻA PONAD 15 OSÓB.** Takich wartości w Europie nie było nigdy.*

W najgorszym okresie – marcu 2020 roku – współczynnik oscylował w okolicach 5-6.

– W Chinach ludzie zwyczajnie nie są zaszczepieni. To znaczy ponad 90 proc. jest i to dwoma dawkami, ale przyjęli preparaty krajowej produkcji – nieskuteczne wobec Omicronu i innych nowych wariantów. Do tego wśród najbardziej zagrożonej części populacji,

Zagranica

czyli 80+, tylko 20 proc. przyjęło dwie dawki nawet tych chińskich szczepionek – zauważa dr Michał Bogusz.

– Znaczna większość populacji ostatnie dawki otrzymała ponad rok temu, przez co jedynie można się spodziewać ochrony przed ciężkim przebiegiem, ale nie zakażeniem – dodaje dr Andrzej Jarynowski.

Puszka Pandory?

– Wiemy, że za każdym razem, gdy wirus zaczyna się szerzyć w sposób nieograniczony, istnieje możliwość, że zmutuje i zacznie stanowić zagrożenie dla ludzi na całym świecie – komentuje odejście od polityki „zero „COVID” rzecznik Departamentu Stanu USA, Ned Price.

Obawy Neda Price’a – nawet jeśli częściowo podszyte politycznie – dzielają decydenci z innych krajów. Unia Europejska zarekomendowała, by wprowadzić obowiązkowe testy dla wszystkich przylatujących z Chin. Wprowadzili je już m.in. Szwedzi i Francuzi. Z pierwszych zebranych danych wynika, że ok. 1/3 testowanych pasażerów ma wynik dodatni.

Zagranica

– Nie sama skala zakażeń wśród pasażerów jest problemem, a możliwość zawleczenia nowego bardziej zjadliwego lub zakaźnego wariantu. W związku tym, że mamy do czynienia z masowym zjawiskiem i do lutego 2023 przechoruje prawdopodobnie ponad miliard Chińczyków, mutacje oczywiście będą mieć miejsce – mówi „Wprost” dr Andrzej Jarynowski.

WHO uspokaja, że na razie w Chinach nie wykryto żadnych nowych szczepów koronawirusa, choć skarży się na brak transparentności przy współpracy z tamtejszymi służbami sanitarnymi.

W niektórych częściach kraju szczyt fali już minął, ale ogółem koronawirusowy szok ma potrwać kilka tygodni. Duże obawy związane są z obchodami Chińskiego Nowego Roku (Rok Królika rozpocznie się 22 stycznia), który tradycyjnie wiąże się ze wzmożonym podróżowaniem po kraju. Zagrożeni mogą być zwłaszcza mieszkańcy prowincji, która ma mocno utrudniony dostęp do służby zdrowia. Niektóre miejscowości oddalone są od najbliższego szpitala o kilka godzin po-

dróży. Stąd apele władz o powstrzymanie się od odwiedzania bliskich.

Bilans 1000 dni

Według badaczy z amerykańskiego Health Metrics and Evaluation oraz grupy profesorów z Uniwersytetu Hongkońskiego, Chiny powinny spodziewać się około miliona koronawirusowych zgonów. Gdyby słuchać naukowców, datę porzucenia strategii „zero COVID” należałoby wyznaczyć w miesiącach letnich.

– Nie jest to decyzja medyczna, tylko polityczna. Chińscy epidemiolodzy realizują jedynie plan redukcji szkód w ujęciu populacyjnym – mówi dr Andrzej Jarynowski.

Plan może zadziałać stosunkowo dobrze, bo liczba miliona zmarłych – jakkolwiek duża i szokująca – w przeliczeniu na liczbę mieszkańców oznaczałaby, że najgorszy okres pandemii Chińczycy przesiedzieli w domach i wychodzą naprzeciw mniejszemu zagrożeniu.

– Dominujący obecnie wariant Omicron jest zaraźliwy, ale ma 10-20 razy mniejszą śmiertelność od Alfy czy Delty – zauważa dr Andrzej Jarynowski.

Zagranica

Na rezygnację z obostrzeń dla obcokrajowców czekają studenci, turyści i badacze. Zamknięte dla nich od ponad tysiąca dni bramy Chin na razie zostają nieśmiało uchylone. Wizy rezydenckie i biznesowe wkrótce pozwolą wjechać do kraju jedynie za okazaniem negatywnego wyniku testu.

– Zagraniczni turyści będą prawdopodobnie zaskoczeni faktem, że

„*w Chinach, na odwrót niż w Europie, IM MNIEJ RESTRYKCJI TYM WIĘCEJ OSÓB W MASKACH. Ludzie wyszli z założenia, że „jeśli rząd mnie już nie chroni to muszę robić to sam”*

– mówi Weronika Truszczyńska.

Okazją do hucznego otwarcia się Chin na świat mogłoby być kwietniowe Grand Prix Formuły 1 w Szanghaju. Co prawda na początku grudnia potwierdzono, że zawody – trzeci raz z rzędu – zostają odwołane, ale zniesienie restrykcji, w połączeniu ze spodziewa-

Zagranica

nym zakończeniem superfali zachorowań, może jeszcze odwrócić tę decyzję. Zwłaszcza, że przed rodzimą publicznością zadebiutowałby wtedy Zhou Guanyu, jeżdżący w Alfa Romeo F1 Team Orlen.

Z poluzowania restrykcji już korzysta chińska gospodarka. Analitycy z giełdy w Tokio wyliczają, że w 2023 Chiny zanotują wzrost na poziomie 4,7 proc. PKB, podczas gdy w 2022 wyniósł on – według szacunków – 3-3,2 proc.

To przyspieszenie może być kosztowne dla Europy, bo będzie wiązać się ze zwiększonym popytem na surowce. Niektórzy ekonomiści wieszczą, że za ostatnią kostką domina poruszonego zniesieniem chińskich obustrzeń, czai się baryłka ropy znów kosztująca więcej niż sto dolarów. 

**Gen. Waldemar Skrzypczak**

Nadchodzi czas ostatecznej próby

Wojna zakończy się wówczas, gdy Putin straci wiarę w zwycięstwo. Kiedy jego dowódcy polowi nie osiągną celów, które on im wytycza. Do tej pory armia rosyjska zawodzi swojego wodza nieustannie. I nie chodzi tu o cierpliwość Putina, a o pogłębiającą się izolację Rosji, któ-

ra podważa jego wiarygodność i sieje ferment wśród elit rządzących.

Jeżeli planowana duża operacja ofensywna we wschodniej Ukrainie Rosjanom się nie powiedzie, Putin – w obliczu katastrofy – zaproponuje, oczywiście poprzez stronę trzecią, rozmowy pokojowe. Po kogo zechce sięgnąć Putin? Wielkiego wyboru nie ma. Z kręgu państw, które mogą odegrać jakąś rolę w procesie pokojowym, pozostała już chyba tylko Turcja.

W rozmowach pokojowych Kreml będzie widział szansę na zatrzymanie w swoim ręku okupowanych terytoriów Ukrainy. O ile w 2014 mógł liczyć w naciśkach na Ukrainę na Niemcy i Francję, to wydaje się, że tych złudzeń się już wyrzucił. Chcę wierzyć, że już nikt z Europy Zachodniej nie przyłoży ręki do upokorzenia Ukrainy, jak miało to miejsce w porozumieniach mińskich.

Jakakolwiek dyskusja z udziałem Putina o przyszłości wschodniej Ukrainy nie może mieć miejsca.

Słuszne są obawy tych, którzy stopniowe wydzieranie ziem ukraińskich traktują jako swoistą strategię

Kremla. Krok po kroku, kawałek po kawałku. Najpierw części obwodów ługańskiego i donieckiego. Następnie wschodnia część Ukrainy. I po kilku latach dalsza ekspansja? Po drodze może Mołdawia i części innych, graniczących z Rosją krajów? Na to godzić się nie można. Ani kroku w tył.

*Teraz jest szansa, aby wysiłkiem wszystkich zaangażowanych we wspieranie Ukrainy **WYTRĄCIĆ MOSKWIE Z KRWAWYCH ŁAP MILITARNY ORĘŻ.** Upokorzyć Putina i jego kamarylę.*

Ukraina nie zgodzi się nigdy na pokój na warunkach Moskwy. Nie ulegnie niczyjemu dyktatowi. Cena, jaką płaci ukraiński naród, warta jest walki o odzyskanie utraconej części Ukrainy. I to zaświadcza o prawie Ukrainy do zwycięstwa w tej wojnie. Wszyscy wielcy tego świata to prawo powinni uznać jako jedyne.

W konsekwencji trzeba zrobić wszystko, aby upokorzyć Putina i jego elity. Jako przykład tego, że

Felieton

cywilizowany świat nie godzi się na prowadzenie polityki międzynarodowej poprzez wojny. Może jest to niepowtarzalna okazja, aby wstrząsnąć wszystkimi reżimami, pokazując na przykładzie Rosji, że to droga donikąd.

W mojej ocenie działania zbrojne zakończą się zawieszeniem broni. Ale nie będzie to oznaczało końca wojny. Końcem wojny będzie uznanie przez obie strony w pełni zadość uczynionych oczekiwań. W przypadku Ukrainy – wycofanie wojsk rosyjskich z okupowanych terytoriów.

Zawieszenie broni nastąpi moim zdaniem w pierwszej połowie 2023 roku po załamaniu przez Ukraińców przygotowywanej przez Rosjan wielkiej ofensywy. Ukraina się obroni.

Putin – wobec klęski swoich wojsk – będzie dążył do zawieszenia broni w obawie przez ukraińską kontrofensywą, która ostatecznie mogłaby rozbić armię rosyjską.

Zawieszenie broni może być wstępem do rozmów o pokoju, ale niekoniecznie do pokoju doprowadzić.

Felieton

Szczególnie w sytuacji, gdy Kreml będzie dążył do zatrzymania okupowanej części Ukrainy. Oznaczało to będzie kontynuowanie wojny. W takiej sytuacji pomoc Zachodu dla Ukrainy będzie nadal konieczna.

*Zachód nie ma już innej alternatywy,
jak tylko potęgować pomoc Ukrainie.
I wydaje się, że politycy zdali sobie
sprawę, że **ODWROTU Z TEJ DROGI JUŻ
NIE MA.***

Wszystkie argumenty, którymi Putin szantażował Europę, straciły swoją wyrazistość i dzięki wysiłkom poszczególnych rządów nie są tak dotkliwe dla ich gospodarek i obywateli, jak liczyła na to Rosja. Kreml będzie za wszelką cenę szukał rozstrzygnięć militarnych i na to Ukraina się przygotowuje.

W każdych rozmowach o pokoju Zachód musi dać Ukrainie gwarancje swojego wsparcia politycznego, które ma być świadectwem jedności w walce o suwerenność zaatakowanego kraju. Bez takiej jednoznacz-

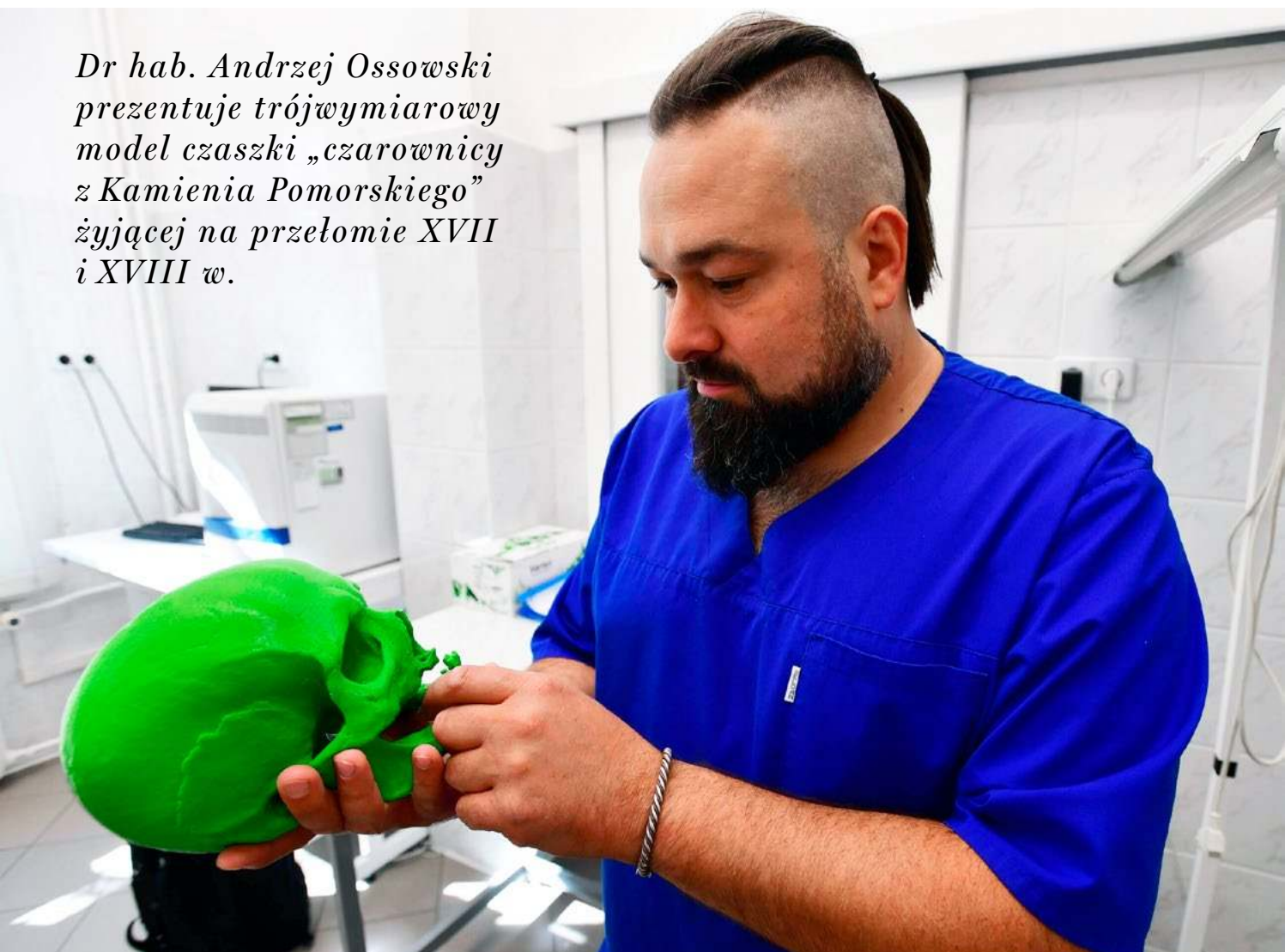
nej deklaracji, Putin będzie liczył na animozje pomiędzy państwami, co do finału tej wojny.

Zatem jak najprędzej powinna zostać zwołana konferencja międzynarodowa, która w swojej końcowej deklaracji powinna zdefiniować powojenny kształt Ukrainy, do którego dążyć będzie rząd Zeleńskiego przy wsparciu uczestników konferencji. A przede wszystkim, zagwarantowane powinny być: wycofanie wojsk rosyjskich z Ukrainy oraz rozmieszczenie sił pokojowych, które będą uznane przez obie strony wojny. W dalszej części – solidarny udział w odbudowie Ukrainy.

Nadchodzi czas ostatecznej próby dla Ukrainy w jej walce o suwerenność. Ale i czas sprawdzenia solidarności Europy i USA w wysiłkach dla zwycięstwa Ukrainy. 

Nauka to polska specjalność

*Dr hab. Andrzej Ossowski
prezentuje trójwymiarowy
model czaszki „czarownicy”
z Kamienia Pomorskiego”
żyjącej na przełomie XVII
i XVIII w.*



ARCHEOLOGIA I GENETYKA. DOBRA PARA

Fot. PAP / Marcin Bielecki

Nauka to polska specjalność

*Badania DNA pozwalają określić pokrewieństwo ludzi, ich pochodzenie, linie ewolucyjne, ale też cechy fenotypowe, czyli kolor włosów, skóry i oczu. **DZIŚ, DZIĘKI GENETYCE, ARCHEOLOGDZY MOGĄ WYCIĄGAĆ KOŚCI Z MAGAZYNÓW I BADAĆ JE NA NOWO, PRÓBUJĄC ZNALEŹĆ ODPOWIEDZI NA DAWNO POSTAWIONE PYTANIA.** Nawet z pozoru tak błahe, jak to, jaki kolor oczu mieli nasi przodkowie.*



Tekst: **Katarzyna Świerczyńska**

Badania DNA w archeologii, czyli tzw. archeogenetyka, mają ogromne znaczenie dla archeologii i bardzo ją zmieniły. Przede wszystkim pozwoliły badać różne wcześniej niedostępne kwestie – mówi dr Dariusz Błaszczyk z Katedry Archeologii Średniowiecza i Nowożytności Uniwersytetu War-

Nauka to polska specjalność

szawskiego. – To zmiany rewolucyjne, ale to nie dotyczą tylko archeologii. Archeologia czerpie z innych dyscyplin, jeśli więc rozwija się medycyna, to rozwija się także archeologia – dodaje prof. Andrzej Buko z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN.

Nowe metody do rozwikłania starych spraw

Przykład wykorzystania badań genetycznych do rozwikłania zagadki sprzed lat to projekt, którym kieruje prof. Buko, a dr Błaszczyk jest jednym z naukowców biorących w nim udział. Ta zagadka pozostaje nierozwiązana od blisko 150 lat. Chodzi o średniowieczne cmentarzyska i groby z ułożonymi warstwami kamieni. Takie groby znaleziono na terenie Mazowsza i Podlasia. Początkowo sądzono, że są one charakterystyczne dla ludzi z tego regionu. Podobne groby znaleziono jeszcze na Pomorzu. Sprawę skomplikowały badania, podczas których znaleziono na tych samych terenach cmentarzyska bez obudów kamiennych. Kim więc byli ludzie chowani na charakterystycznych cmentarzach z obudowami z kamieni?

Nauka to polska specjalność



Fot. Populus Masoviae Medi Aevi

Naukowcy uczestniczący w projekcie Populus Masoviae Medi Aevi badają etniczne pochodzenie ludności zamieszkującej region Mazowsza

Nauka to polska specjalność

– Jak zwykle pojawiło się wiele koncepcji. Część badaczy uważała, że **CMENTARZYSKA BYŁY UŻYTKOWANE** przez lokalną ludność słowiańską.

W latach 90. ubiegłego wieku popularność zyskała koncepcja, że były tworzone i użytkowane przez przybyszów ze Skandynawii, gdyż tam również konstruowano groby w obudowach kamiennych – tłumaczy dr Błaszczyk.

Ale te teorie nie są jedyne. W latach 50. snuto domysły, że mogą tam być pochowani przybysze nie ze Skandynawii, a ze wchodu, z terenu Rusi. Jaka jest prawda?

Jak tłumaczy dr Błaszczyk, do niedawna jedyną metodą dostępną archeologom do określania pochodzenia chowanych na cmentarzyskach była tzw. atrybucja etniczna form pochówków i przedmiotów wchodzących w skład wyposażenia grobowego. – W jej ramach zakładano, że przybysze przynoszą ze sobą swoje zwyczaje i kulturę, w tym obrządek pogrzebowy i charakterystyczny

Nauka to polska specjalność

dla danej grupy etnicznej strój – mówi archeolog. Określając cechy charakterystyczne danego obrządku pogrzebowego np. formy grobów i charakterystyczne, dystynktywne elementy stroju (w przypadku Słowian były to np. kabłączki skroniowe, a w przypadku Skandynawów tzw. zapinki żółwiowate), można określić przynależność etniczną osób chowanych na cmentarzyskach – wyjaśnia.

Ta metoda jednak sprawdza się tylko częściowo. – Ludzie mogli ulegać akulturacji w nowym środowisku i dostosowywać się do nowych zwyczajów. Problem w tym, że przedmioty znajdujące w grobach mogły być również przedmiotem wymiany, handlu, czy rabunku i nie muszą świadczyć o przynależności etnicznej ich właściciela – dodaje dr Błaszczyk.

I tu z pomocą przychodzą nowe metody, które pomagają określić przynależność etniczną, w tym badania DNA. To właśnie po nie sięgnięto w projekcie badawczym dotyczącym grobów z Mazowsza i Podlasia (projekt *Populus Masiviae Medii Aevi*). – Chcemy za pomocą nowych metod odpowiedzieć na stare pytanie – mówi Dariusz

Nauka to polska specjalność

Błaszczyk. Nie zdradza na razie efektów. – Zmierzamy ku końcowi projektu – dodaje jedynie.

Jednocześnie przywołuje głośnie w świecie naukowym sprawy, gdzie to właśnie badania DNA odegrały kluczową rolę. To np. kwestia relacji gatunku *Homo sapiens* i *Homo neanderthalensis* – jak przypomina dr Błaszczyk, okazało się, że neandertalczyki nie są naszymi przodkami, lecz stanowią osobną linię ewolucyjną, jeden z podgatunków człowieka. Dowiedziono jednocześnie, że dochodziło do kontaktów seksualnych między ludźmi i neandertalczykami i część ich genów przetrwała w naszym genomie. Na przykład, to po nich odziedziczyliśmy rude włosy i pewne geny wspomagające odporność organizmu.

Ale można spojrzeć też na własne podwórko i projekt realizowany w katedrze we Fromborku, gdzie wykorzystano do badania DNA szkielet przypisywany Mikołajowi Kopernikowi oraz włosy w należącej do niego książce. Obecnie naukowcy z niecierpliwością czekają na efekty badań realizowanych w Instytucie Chemii Bioorganicz-

Nauka to polska specjalność



Fot. Populus Masoviae Medi Aevi

Przedmiotem badań są m.in. szczątki ludzkie zgromadzone w Muzeum Mazowieckim w Płocku.

Nauka to polska specjalność

nej PAN w Poznaniu pod kierunkiem prof. Marka Figlarowicza. Badacze mają dać odpowiedź na pytania dotyczące genomu i pochodzenia dynastii Piastów.

aDNA świeże i aDNA magazynowe

Wydobycie DNA z tak starych kości nie jest jednak proste. Wielokrotnie o tym mówił, także w rozmowie z „Wprost”, dr hab. Andrzej Ossowski z Zakładu Genetyki Sądowej PUM w Szczecinie. Zespół Ossowskiego, znany m.in. z identyfikacji ofiar zbrodni nazistowskich i komunistycznych, próbuje teraz stworzyć profil genetyczny rycerzy poległych w bitwie pod Grunwaldem. To projekt zaplanowany na kilka lat i bardzo skomplikowany, bo mowa tu o tzw. DNA kopalnym, aDNA (a od angielskiego „ancient” czyli „pradawny”). Jeśli się powie, że genetycy będą mogli odpowiedzieć na pytania, jaki dana osoba miała kolor oczu, włosów, jakiej była płci i określić jej biopochodzenie.

– Określone społeczności mają swoje charakterystyczne cechy, które są wspólne dla danej grupy lu-

Nauka to polska specjalność

dzi – mówi o biopochodzeniu Ossowski. I przypomina międzynarodowe badania, w których brał udział.

– *Chodzi o badania szczątków dziesięciu osób znalezionych na terenie obozu zagłady w Sobiborze. **ZAKŁADANO, ŻE TO DZIAŁACZE PODZIEMIA ANTYKOMUNISTYCZNEGO ZAMORDOWANI TAM POTAJEMNIE.** Profile genetyczne ofiar należało porównać z materiałami w bazach genetycznych.*

I okazało się, że jednak – ku zaskoczeniu wszystkich – że nie są to osoby pochodzenia polskiego, bo profile genetyczne takie, jak u ofiar, występują wśród żyjących współcześnie Żydów aszkenazyjskich – mówi Ossowski.

Genetyk podkreśla, że DNA jest bardzo delikatną materią. W przypadku tak starych kości, jak te z pól bi-

Nauka to polska specjalność



Fot. Piotr Wesołowski Medi Aevi

W badaniach wykorzystywane są także zasoby Magazynu Instytutu Archeologii i Etnologii PAN w Dziekanowie Leśnym

Nauka to polska specjalność

tewnych sprzed 600 lat, najlepiej szukać go w jak najlepiej zachowanych kościach udowych, zębach i niektórych kościach czaszki.

Dr Błaszczuk tłumaczy, że współcześnie próbki do badań DNA pobiera się często bezpośrednio na stanowisku archeologicznym podczas badań wykopaliskowych lub krótko po nich – w żargonie bywa to określane jako „aDNA świeże”. – Jednocześnie jednak badania DNA stały się jedną z metod badawczych, która umożliwiła badanie i powrót do materiałów, które były wykopane w przeszłości i potem przechowywane w magazynach muzealnych, określane niekiedy jako aDNA magazynowe – mówi.

Zdaniem dr. Błaszczuka przygoda w tym zakresie dopiero się zaczyna – badania kopalnego DNA nabierają tempa i czeka nas jeszcze wiele ciekawych i przełomowych odkryć.

Dzięki analizie DNA archeolodzy mogą uzyskać precyzyjną wiedzę o kierunkach migracji całych grup ludzkich, ale też pojedynczych osobników. To pale-

Nauka to polska specjalność

ogenetyka pokazała, jak powstawał pomost między Europą a Azją. Międzynarodowe badanie, w którym uczestniczyły m.in. naukowczynie z Polski, a którego wyniki opublikowano w czasopiśmie „Science”, dostarczyło danych o całych genomach 727 starożytnych ludzi, pochodzących z regionu tzw. południowego łuku (ang. Southern Arc). To obszar rozciągający się od Kaukazu i Lewantu, poprzez Anatolię i region Morza Egejskiego po Bałkany, stanowiący pomost łączący Europę i Azję. Ta wiedza pozwoliła na uzupełnienie luk w zapisie paleogenetycznym Indoeuropejczyków. Okazało się, że w południowo-wschodniej Europie zamieszkują ludzie genetycznie tożsami z ludnością stepową.

Kluczowa dla śledzenia migracji ludności okazała się możliwość określenia haplogrupy badanych szczątków. Haplogrupa to, tłumacząc najprościej, grupa podobnych ze względu na wspólne pochodzenie haplotypów, czyli serii alleli genów położonych w specyficznym miejscu na chromosomie. Jeśli zbada się wystę-

Nauka to polska specjalność

powanie haplogrup, można śledzić migracje całych populacji. Powstały specjalne mapy, które pokazują na przykład rozmieszczenie haplogrup DNA chromosomu Y (osób o wspólnym biologicznym pochodzeniu, przekazywanym w linii męskiej).

Wyzwanie dla polskiej archeologii

Prof. Andrzej Buko mówiąc o rewolucji i możliwościach, jakie daje genetyka, zwraca jednak uwagę, że archeologia jest dziedziną interdyscyplinarną i sama genetyka nie wystarczy. Tak jest chociażby we wspomnianych badaniach średniowiecznych cmentarzysk.

– Łączymy tu kilka metod, które pozwolą nam możliwie precyzyjnie odpowiedzieć na pytania **DOTYCZĄCE LUDZI, KTÓRYCH SZCZĄTKI BADAMY** – mówi prof. Buko.

Nauka to polska specjalność



Fot. Populus Masoviae Medi Aewi

Wydobycie DNA ze starych kości nie jest proste. Najlepiej szukać go w dobrze zachowanych kościach udowych, zębach i niektórych kościach czaszki.

Nauka to polska specjalność

To nie tylko samo badanie DNA, ale też określanie wieku każdej z próbek za pomocą datowania C14 czy badania trwałych izotopów tlenu i strontu.

Problem, z jakim borykają się naukowcy, to przede wszystkim stan materiału badawczego. Nie pozwala to jednoznacznie określić etnogenezy i wciąż spornej kwestii pochodzenia Słowian.

– Nawet najlepsze metody nie pozwolą rozwiązać problemu badawczego, jeśli nie dysponuje się odpowiednim materiałem badawczym. Problem polega na tym, że na ziemiach polskich i terenach ościennych od środkowej epoki brązu po wczesne średniowiecze stosowano obrządek ciałopalny. Przepalone kości, z pewnymi wyjątkami, generalnie uniemożliwiają wykonywanie badań genetycznych i izotopowych – mówi dr Dariusz Błaszczyk.

Co prawda w tym okresie występują też pochówki szkieletowe, ale są one nieliczne. Inhumacja pojawia się ponownie wraz z wprowadzeniem chrześcijaństwa w X w. – Tym niemniej sędzę, że mimo tych ograniczeń

Nauka to polska specjalność

można by spróbować przeprowadzić badania biochemiczne na dostępnych materiałach. W mojej opinii jest to bez wątpienia wyzwanie, z którym powinna się zmierzyć polska archeologia – podsumowuje badacz. 

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW
MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU
„SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki



Nauka to polska specjalność



POSZUKIWACZE UKRYTYCH ZWŁOK

Fot. Shutterstock

Nauka to polska specjalność

CZY ARCHEOLOG SĄDOWY TO INTERESUJĄCY ZAWÓD? *Jakie czynności wykonuje w trakcie śledztwa? W jaki sposób zdobyć kompetencje, aby wykonywać ten zawód? NA TE I INNE PYTANIA ODPOWIEDZIAŁ PROF. MACIEJ TRZCIŃSKI, wybitny prawnik i specjalista w dziedzinie archeologii sądowej.*



Tekst: **Rafał Borowski**

W bardzo dużym uproszczeniu, kryminalistyka to nauka prawna, której celem jest opracowywanie metod wykrywania przestępstw i ich sprawców. Czym w takim razie jest archeologia sądowa? Jest poddziedziną archeologii czy kryminalistyki?

PROF. MACIEJ TRZCIŃSKI: Czymś pomiędzy. Jesteśmy oswojeni z takimi pojęciami jak medycyna sądowa, chemia sądowa, toksykologia sądowa czy antropologia sądowa. Wreszcie przyszedł czas na archeologię sądową. Z naukami sądowymi – w tym z archeologią – mamy

Nauka to polska specjalność

do czynienia wtedy, gdy warsztat metodologiczny wypracowany przez daną dyscyplinę nauki znajduje swoje zastosowanie w sytuacji, gdy mamy do czynienia z jakimś problemem prawnym.

Prof. Maciej Trzeciński

Doktor habilitowany nauk prawnych, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego. Kierownik Katedry Kryminalistyki na Wydziale Prawa, Administracji i Ekonomii, Studiów Podyplomowych Kryminalistyki oraz Międzywydziałowych Studiów Podyplomowych Archeologii Sądowej na wspomnianej uczelni.

Jest członkiem następujących stowarzyszeń: Polskie Towarzystwo Kryminalistyczne, Stowarzyszenie Naukowe Archeologów Polskich, Polski Komitet Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków oraz Forensic Archaeology – Work Group w strukturach European Network of Forensic Sciences.

Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół prawa ochrony dziedzictwa kulturowego, przestępczość przeciwko zabytkom i archeologii sądowej. Jest autorem wielu publikacji naukowych, np. podręcznika „Kryminalistyka i archeologia sądowa w procesie poszukiwania ukrytych zwłok”, czy współautorem podręcznika „Archeologia sądowa w teorii i praktyce”, którego drugie, rozszerzone wydanie zostanie opublikowane w pierwszej połowie tego roku.

Nauka to polska specjalność

W przypadku archeologii sądowej najczęściej dotyczy to oczywiście spraw kryminalnych. Archeologia sądowa – tak w Polsce, jak i na świecie – to przede wszystkim działania związane z poszukiwaniami ukrytych zwłok, a w szerszym kontekście prowadzeniem poszukiwań osób zaginionych.

Wystarczy spojrzeć na sprawę, która w ostatnim czasie odżyła w mediach – zaginięcie Iwony Wieczorek. Do poszukiwań, a właściwie penetracji gruntu, użyto georadaru, który jest jednym z narzędzi wykorzystywanych przez archeologów sądowych.

Odnoszę wrażenie, że w Polsce działalność archeologów sądowych jest kojarzona raczej z wykrywaniem zbrodni wojennych i komunistycznych. Na przykład z poszukiwaniami ofiar mordów sądowych na Łączce, czyli jednej z kwater Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie...

Tak, w polskich realiach aktywność archeologii sądowej wygląda trochę inaczej niż w krajach Europy Zachodniej, co jest związane z naszą historią najnowszą.

Nauka to polska specjalność

Przypomnę, że na gruncie polskiego prawa zbrodnie wojenne i komunistyczne nie przedawniają się. Te sprawy prowadzi pion śledczy Instytutu Pamięi Narodowej.

W Europie Zachodniej archeolodzy sądowi zajmują się przestępczością kryminalną – kolokwialnie mówiąc – „tu i teraz”. Co roku biorę udział w spotkaniach z kolegami z zagranicy. Jeden z nich opowiadał, że obecnie zajmuje się poszukiwaniami zwłok 12-letniego chłopca, którego zamordował ojciec, jednak ten nie chce wskazać miejsca ukrycia zwłok.

W Polsce także mamy kilku biegłych z zakresu archeologii sądowej, którzy współpracują z policją, gdy ma ona do czynienia z zaginięciem kryminalnym.

ARCHEOLOG SĄDOWY STANOWI NIEOCENIONĄ POMOC W POSZUKIWANIU UKRYTYCH ZWŁOK.

Nauka to polska specjalność

Jest jeszcze jedna aktywność archeologiczna, która wzorem krajów zachodnioeuropejskich funkcjonuje także w Polsce. Chodzi o rekonstruowanie przyczyn wypadków lotniczych. Od 2019 r. działa interdyscyplinarny zespół, w którym oprócz techników kryminalistyki i lekarzy medycyny sądowej znajdują się również archeolodzy sądowi.

Dzięki temu oględziny można przeprowadzić w kompleksowy sposób, co pozwala odpowiedzieć na zasadnicze pytania dotyczące wersji kryminalistycznej. Innymi słowy, czy mamy do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem, zamachem terrorystycznym, a może błędem pilota. Jakość oględzin to czynność absolutnie fundamentalna.

Po prostu im lepiej je zrobimy, tym szybciej odpowiemy na pytanie, co się tak naprawdę wydarzyło. Co więcej, w wielu krajach archeolodzy sądowi uczestniczą w oględzinach miejsc wszelkich katastrof masowych. Nie tylko lotniczych, ale także budowlanych czy w ruchu lądowym.

Nauka to polska specjalność

Proszę obrazowo wyjaśnić, jakie metody są najczęściej wykorzystywane w pracy archeologów sądowych? Na przykład antropolog sądowy zajmuje się m.in. odtwarzaniem wyglądu żyłciowego twarzy na podstawie czaszki – co miało miejsce w przypadku szczątków Mikołaja Kopernika – które można wykonać metodą rysunkową, z użyciem masy plastycznej czy grafiki komputerowej.

Jeśli chodzi o typowe metody, to archeolodzy są przede wszystkim dobrzy w lokalizowaniu – zwłaszcza w terenie otwartym – miejsc, które mają jakieś anomalie. Chodzi o wytypowanie podejrzanych miejsc, gdzie mamy jakiś nasyp, zagłębienie czy zmianę wegetacji roślinności. W tym celu bardzo często posługujemy się skanowaniem laserowym terenu i analizą zdjęć lotniczych.

Po wytypowaniu takich podejrzanych miejsc przechodzimy do metod wykopaliskowych, „do łopaty”, czyli tego, co się najczęściej kojarzy z archeologią. Robimy powszechne w każdej poddziedzinie archeologii wykopy sondażowe i odwierty geologiczne.

Nauka to polska specjalność

Warto podkreślić, że zarówno dzisiejsza archeologia, jak i kryminalistyka bardzo dynamicznie rozwijają się, **CO WYNIKA Z ROZWOJU NOWYCH TECHNOLOGII**. Dobrym przykładem są osiągnięcia z zakresu wspomnianej wcześniej geofizyki, czyli skanowanie laserowe terenu.

Natomiast analiza zdjęć lotniczych jest bardzo pomocna w sytuacji, gdy mamy znaleźć grób masowy. I to się dzieje na Ukrainie. To zdjęcia lotnicze pozwoliły szybko ustalić, gdzie znajduje się grób masowy w Buczy.

W przypadku pracy archeologów sądowych jest jeszcze jeden aspekt. Mowa o ekshumacjach, czyli podejmowaniu zwłok. Po namierzeniu grobu masowego czy pojedynczego archeolodzy sądowi są dobrzy w dokumentowaniu całego procesu nawarstwień, określeniu czasu wykopania tej jamy grobowej i sposobu działania sprawców.

Nauka to polska specjalność

Aczkolwiek w procesie ekshumacji obowiązkowo musi uczestniczyć także antropolog sądowy i – moim zdaniem – lekarz medycyny sądowej. To ich zadaniem jest podejmowanie szczątków i przewożenie ich do dalszych badań. Zespół, w którym mamy archeologa, antropologa, lekarza medycyny sądowej jest w takim przypadku idealny.

Skoro mowa o ekshumacjach – choć to pytanie dotyczy medycyny sądowej – jeśli nie zachowały się żadne tkanki miękkie, czyli po prostu pozostał sam szkielet, czy można ustalić przyczynę zgonu, jeśli nie był nią uraz mechaniczny, np. rana po pchnięciu nożem, a powiedzmy otrucie?

Oczywiście, takie badania mają sens. W latach 80. powstała na ten temat bardzo ciekawa publikacja: „Detektywi na tropach zagadek historii”. Jej autorem jest prof. Jan Widacki, który przez wiele lat był szefem Katedry Kryminalistyki na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Zawarto w niej informacje o wynikach ekshumacji szczątki znanych Polaków, np. króla Kazimierza Jagiellończyka.

Nauka to polska specjalność

Ogłędziny materiału kostnego umożliwiają ustalenie, czy obrażenia na szczątkach zostały zadane ante mortem (łac. przed śmiercią – red.) czy post mortem (po śmierci – red.). Odsyłam tutaj do bardzo interesujących publikacji, poświęconych ekshumacjom z cmentarzy gladiatorów we Włoszech. Zwłaszcza teraz, gdy rozwijają się nowe technologie i badania genetyczne, tylko na podstawie ogłędzin materiału kostnego jesteśmy w stanie ustalić nie tylko przyczynę zgonu, ale również np. pochodzenie zmarłego czy sposób jego odżywiania.

*W tym przypadku bardzo pomocna jest toksykologia sądowa. **W KOŚCIACH MAMY ZAWARTĄ INFORMACJĘ** np. o cyklicznym podtruwaniu cyjankiem.*

Spotkałem się z opiniami, że w naszym kraju archeolodzy sądowi są traktowani przez organy ścigania po macoszemu. Mało tego, mają one chętniej korzystać

Nauka to polska specjalność

w śledztwach z usług jasnowidzów niż archeologów sądowych. To wyolbrzymienie czy jednak smutna rzeczywistość?

Niestety, w polskich warunkach tak jest. Myślę, że to wynika z tego, że organy ścigania wciąż za mało wiedzą o archeologii jako nauce. Tradycyjna archeologia kojarzy się przeciętnemu policjantowi i prokuratorowi z piramidami w Egipcie czy z Indianą Jonesem. Niestety, wiem, co mówię, bo często spotykam się z tym środowiskiem.

Na szczęście, to się zmienia. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat dostrzegam postęp. Fakty są jednak takie, że instytucją, która najczęściej korzysta z archeologii sądowej, jest wciąż Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN. W tej chwili pracuje tam na etacie już kilkunastu archeologów.

Aby sytuacja uległa zmianie, tj. aby wyglądało to podobnie jak w Holandii, Anglii czy Niemczech, musi zmienić się poziom edukacji w szkołach policyjnych. Mówiąc krótko, archeologia sądowa musi być bardziej

Nauka to polska specjalność

rozpoznawalna dla tych, którzy mogą z niej skorzystać w praktyce, czyli organów ścigania.

Zgodnie z przyjętą pod koniec roku nowelizacją Kodeksu karnego, okres przedawnienia karalności zbrodni zabójstwa został wydłużony z 30 do 40 lat. Czy zdaniem pana profesora ta zmiana może okazać się impulsem, który zaowocuje wzrostem znaczenia archeologów sądowych w procesie karnym?

Nie sędzę. Na marginesie, otwiera się tu pole do dyskusji o samym przedawnieniu. Były takie postulaty w środowisku prawniczym, aby w przypadku zbrodni zabójstwa w ogóle zrezygnować z okresu przedawnienia, podobnie jak w przypadku zbrodni wojennych.

Nasuwa się wówczas pytanie, czy to motywuje, czy raczej demotywuje organy ścigania. Zdaniem niektórych, gdy „zegar tyka”, organy ścigania powinny działać niezwłocznie. Jeśli zaś nie ma okresu przedawnienia, pojawia się ryzyko, że to rozleniwia organy ścigania i nie będą one działać skutecznie.

Nauka to polska specjalność

Na koniec chciałbym zapytać o kwestię, która może okazać się szczególnie interesująca dla młodszych czytelników, stojących przed wyborem swojej ścieżki zawodowej. Jakie wykształcenie należy odebrać, aby zostać archeologiem sądowym?

Przede wszystkim taka osoba musi ukończyć pięcioletnie studia archeologiczne. Nie można wykonywać tego zawodu, nie będąc archeologiem. Na niektórych uczelniach, w tym na Uniwersytecie Wrocławskim, są już seminaria magisterskie z archeologii sądowej lub są dedykowane wykłady. Reasumując, rodzi się ten rodzaj specjalizacji.

Jeśli nie uda się wyspecjalizować w tej dziedzinie już na studiach archeologicznych, jest możliwość ukończenia dodatkowych studiów. Na Uniwersytecie Wrocławskim prowadzimy międzywydziałowe studia archeologii sądowej w formie rocznych studiów podyplomowych. Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii naszej uczelni zawarł w tym celu porozumienie z Wydziałem Historycznym i Pedagogicznym oraz Uniwersytetem Medycznym we Wrocławiu.

Nauka to polska specjalność

*Kadra wykładowców składa się przede wszystkim z **ARCHEOLOGÓW, PRAWNIKÓW, KRYMINALISTYKÓW I LEKARZY SĄDOWYCH**. Ukończenie tych studiów podyplomowych powinno umożliwić wpisanie na listę biegłych sądowych.*

Jak przedstawiają się perspektywy dotyczące zatrudnienia? Zapytam wprost – czy jest realna szansa na to, aby wykonywanie zawodu archeologa sądowego było jedynym źródłem utrzymania?

Uprzedzam, że to niszowa specjalizacja i tak samo wygląda to w innych krajach. Mamy wąskie grono specjalistów z tej dziedziny. Liczbę archeologów sądowych, którzy pracują w zawodzie, szacuję w całej Europie na 60-70 osób. Na przykład w Holandii było w zeszłym roku trzech takich specjalistów. Jeśli chodzi o perspektywy znalezienia stałej pracy, to w pierwszej kolejności nasuwa się obecnie IPN, gdzie jak już wspomniałem, w ostatnich latach pojawiło się 10-12 archeologów na pełnym etacie.

Nauka to polska specjalność

Wyobrażam sobie, że można by również znaleźć zatrudnienie w policji, a dokładnie w dziale techniki kryminalistycznej, jak ma to miejsce np. w Bundeskriminalamt (niem. Federalny Urząd Śledczy – red.) w Niemczech. Mówiąc krótko, być archeologiem sądowym pracującym w strukturach policji.

Otwiera się również perspektywa pracy za granicą w różnych organizacjach humanitarnych, które prowadzą działania poszukiwawcze na całym świecie. 

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW
MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU
„SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki



Nauka to polska specjalność



BAŁTYCKIE WRAKI WCIAŻ CZEKAJĄ NA ODKRYCIE

Badania podwodne na rzece Pilicy w okolicach Warki. Badania Wydziału Archeologii UW i Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie.

Fot. Magdalena Sugalska

Nauka to polska specjalność

– Bałtyk doskonale zachowuje, ale **POLSKA ARCHEOLOGIA PODWODNA TO NIE TYLKO MORZE**. Gdy w czasie suszy w Warszawie Wisła odłoniła zabytki wywożone z pałaców podczas potopu szwedzkiego, okazało się, że nasze rzeki skrywają w sobie wiele tajemnic – **MÓWI MAGDALENA NOWAKOWSKA, ARCHEOLOG PODWODNY**, koordynator studiów podyplomowych Archeologia Podwodna na Wydziale Archeologii UW i nauk zawodowy.



Tekst: **Katarzyna Stańczyk**

Co skrywa dno Bałtyku? Czy nasze zimne morze pełne jest nieodkrytych skarbów?

MAGDALENA NOWAKOWSKA: Nasze morze jest wspaniałe. Bałtyk turystycznie może nie jest atrak-

Nauka to polska specjalność

cyjny, ale dzięki temu, że jest morzem zimnym o niskim zasoleniu, stwarza wspaniałe warunki do zachowywania drewnianych wraków i przedmiotów wykonanych z materiałów organicznych. Dodatkowym atutem naszego morza jest to, że nie występuje w nim świdrak okrętowy, maśl, który żywi się drewnem i który stanowi duży problem np. w Morzu Śródziemnym.

Te wszystkie czynniki sprawiają, że w Bałtyku dobrze zachowują się wraki drewnianych statków, elementy takielunku, niekiedy przewożony ładunek oraz prywatne wyposażenie załogi. Przykładem jest wrak XV-wiecznego statku o nazwie Miedziowiec czy też wrak statku General Carleton, który zatonął w 1785 roku, a w którym oprócz ładunku zachowały się tkaniny, skóry, ubrania – to jest rzecz niezwykła. Wraki wciąż są nie do końca odkryte.

Naukowcy dowodzą, że na skutek topnienia lodowca skandynawskiego poziom Bałtyku podniósł się o 100 metrów, zalewając tereny

Nauka to polska specjalność

nadmorskie, na których 10 tysięcy lat temu kwitło życie. Czy dziś archeolodzy podwodni znajdują w pasie nadmorskim w Polsce ślady dawnego osadnictwa?

Tak, rzeczywiście znajdują. Okres, o którym pani wspomina, to mezolit i początki neolitu, kiedy to wybrzeża Bałtyku, głównie północną Jutlandię, południową Danię i Szwecję, ale też i Pomorze Zachodnie zamieszkiwała ludność tak zwanej kultury Ertebølle-Elleberbek, znanej dziś z licznych stanowisk archeologicznych położonych w miejscach ówczesnych wybrzeży, płytkich zatok oraz wysp. Ludność tej kultury związana była z rybołówstwem i eksplorowała naturalne zasoby płytkich wód Bałtyku.

W miarę podnoszenia się poziomu wody osiedla te stopniowo zostały zalane i dzięki temu, że relikty wiosek przykrył muł i piach, dziś archeolodzy odkrywają relikty osad.

Nauka to polska specjalność

*Zachowały się resztki szatałów, znane są czółna wykonane z jednego pnia drewna, wiosła, a także **INNE ELEMENTY, PRZEDMIOTY ŻYCIA CODZIENNEGO**, takie jak narzędzia krzemienne i kamienne, ale też i organiczne, wykonane z drewna, kości czy poroża, które na lądzie miałyby małą szansę na przetrwanie. Coś wspaniałego.*

Oprócz Bałtyku mamy w Polsce setki jezior, na których dnie również mogą skrywać się tajemnice. W okolicy Elbląga, przy Jeziorze Drużno, na szlaku do Zalewu Wiślanego, odnaleziono osadę założoną przez Skandynawów w VIII wieku. Jak często udaje się dokonać takich odkryć?

To Truso, miejsce opisane przez anglosaskiego podróżnika Wulfstana, który dotarł tam z portu Hedeby (w Danii) ok. 890 roku. Port i osada handlowa (emporium) wikińskie funkcjonowało tam w VIII–X wieku

Nauka to polska specjalność



Fot. Magdalena Sugalska

*Dokumentacja pułapek na ryby na Wyspie Failaka (Kuwejt)
w Zatoce Arabskiej.*

Nauka to polska specjalność

(lub do połowy XI wieku) na południowym wybrzeżu Bałtyku, w okolicach ujścia Wisły i rzeki Elbląg. Dziś jest to stanowisko archeologiczne badane przez archeologów z Elbląga. Odnaleziono tam fragmenty infrastruktury portowej, ale badania związane są bardziej z archeologią lądową o charakterze błotno-bagiennym, niż podwodną.

Jakie miejsca w Polsce są zatem najciekawsze dla archeologów podwodnych?

Przez długie lata archeologia podwodna skupiona była na Bałtyku. Jednocześnie wzrastało zainteresowanie krainą Wielkich Jezior Mazurskich, gdzie przed II wojną światową prężnie działała siatka pruskich archeologów, nauczycieli i naukowców, którzy zaznaczali na mapach relikty osiedli nawodnych (osady rusztowe), znajdowanych głównie przy okazji melioracji okolicznych pól i osuszania jezior. Tam polscy archeolodzy od lat 60. prowadzili swoje pionierskie badania podwodne. Wraz z rozwojem techniki nurkowej i dostępnością sprzętu nurkowego badania zaczęły być prowadzone

Nauka to polska specjalność

na szerszą skalę. Wciąż podejmowane są próby weryfikacji i ponownego odnalezienia reliktyw tego fenomenu osadniczego.

Duży zwrot dla archeologii podwodnej nastąpił, gdy we wrześniu 2012 roku przysła duża susza, a Wisła odsłoniła skrywane przez siebie skarby. W Warszawie **POSZUKIWANO WTE-
DY ZABYTKÓW WYWOŻONYCH Z PAŁA-
CÓW WARSZAWSKICH PODCZAS POTOPU
SZWEDZKIEGO W XVII WIEKU.**

Niski poziom wody i odsłonięcie dużych partii dna Wisły ukazał ekipie badawczej kierowanej przez prof. Huberta Kowalskiego z Wydziału Archeologii UW mnogość elementów i detali architektonicznych stanowiących wyposażenie m.in. Pałacu Kazimierzowskiego. Ten projekt chyba najsilniej pokazał, jakie bogactwo skrywają rzeki.

Nauka to polska specjalność

Do tamtego momentu nadzór archeologiczny przy pracach prowadzonych w korytach rzek był bardzo ograniczony i do tej pory wciąż w pełni go nie ma, ale to wydarzenie pokazało nam potencjał tkwiący w rzekach. Do dzisiaj tylko na warszawskim odcinku Wisły zanotowano szereg znalezisk nie tylko związanych z potopem szwedzkim, ale też liczne wraki statków zarówno drewnianych, jak i metalowych, relikty mostów i przepraw oraz inne zabytki historii.

Im bardziej zaczynamy się interesować tymi terenami, tym mocniej okazuje się, że skrywają różne tajemnice, a my mamy coraz więcej narzędzi, by je odkrywać. W województwie zachodniopomorskim podczas poszukiwania przedmiotów z II wojny światowej w jeziorze Lubanowo odnaleziono miejsce ofiarne, funkcjonujące podobnie jak znane ze Skandynawii stanowiska bagienne od okresu przedrzymskiego po czasy średniowiecza. Rzecz absolutnie unikatowa. Na bagnie Nidajno na Mazurach odnaleziono inne stanowisko z okresu późnej starożytności z dużą ilością niezwy-

Nauka to polska specjalność

kłych zabytków. Takich miejsc do odkrycia w Polsce jest jeszcze dużo.

Co najczęściej znajdują archeolodzy na dnie morza lub jeziora? Ceramika, narzędzia czy coś innego?

Są to różne przedmioty. Na Bałtyku najczęściej są to wraki, które odnajdywane są często dzięki wystającym z piachu drewnianym elementom konstrukcji statku. Poszukując osiedli nawodnych możemy natrafić na pale wystające nad poziom dna. Często tam, gdzie funkcjonowały osiedla ludzkie, z dużym prawdopodobieństwem znajdziemy ułamki naczyń glinianych, narzędzia np. kamienne, ale tu nie ma reguły.

Ajaki najciekawszy przedmiot pani udało się odnaleźć?

Największą moją przyjemnością i przygodą archeologiczną było nurkowanie w zespole profesora Mariusza Ziółkowskiego w jeziorach wysokogórskich w Peru, w Andach. Na terenie parku narodowego Machu Picchu wokół świętej góry Salkantay prowadziliśmy poszukiwania w jeziorach położonych ponad 4 ty-

Nauka to polska specjalność



Fot. Michaela Reinfeld

Badania podwodne na jednym ze stanowisk archeologicznych w Turcji.

Nauka to polska specjalność

siące metrów n.p.m., poszukując śladów reliktyw miejsc ofiar.

Niewiarygodne! Miejsc ofiar Inków?

Dokładnie tak. Kiedy wiemy, że na dnie jest wrak i znajdziemy cały ładunek, cieszymy się. Ale gdy szukamy jakiegokolwiek śladu potwierdzającego nasze przypuszczenia i go znajdujemy, radość jest o wiele większa. Wypełnianie białych plam na mapie to coś, co cieszy mnie najmocniej.

Kiedyś, w latach 2007-2012, wraz z kolegą z Narodowej Akademii Nauk Ukrainy miałam przyjemność prowadzić badania podwodne na Krymie, gdzie poszukiwaliśmy miejsc kotwiczenia statków. Tam najczęściej znajdowaliśmy fragmenty amfor lub połamanych kotwic z okresu późnorzymskiego i wczesnośredniowiecznego. To również były ważne badania, przyniosły wiele znalezisk na mało rozpoznanym odcinku wybrzeża Morza Czarnego.

Ilu jest archeologów podwodnych w Polsce, którzy mogą wypełniać te białe plamy na mapie?

Nauka to polska specjalność

Niewielu, można ich policzyć na palcach jednej ręki. W naszym kraju działają dwa ośrodki kształcące archeologów podwodnych. Są to Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz Uniwersytet Warszawski, moja Alma Mater z Wydziałem Archeologii, gdzie można specjalizować się w archeologii podwodnej. Po ukończeniu studiów studenci najczęściej zakładają własne działalności lub znajdują zatrudnienie w firmach prywatnych, poszukujących specjalistów do pracy na dnie zbiorników wodnych.

*Pieczę nad tym, co się dzieje na Bałtyku, sprawuje **NARODOWE MUZEUM MORSKIE W GDAŃSKU. ONO JEST JEDNOSTKĄ NADRZĘDNĄ**, a po podpisaniu konwencji UNESCO o ochronie podwodnego dziedzictwa kulturowego roztoczyło opiekę nad wodami morskimi Rzeczypospolitej.*

Tam również znajdują zatrudnienie archeolodzy podwodni, prowadzą badania na wrakach, dbają o upo-

Nauka to polska specjalność

wszechnianie podwodnego dziedzictwa kulturowego, pracując nad wystawiennictwem, udostępnianiem znalezisk dla szerszej społeczności, a także przygotowywaniem publikacji. Prowadzą również liczne interwencje, weryfikując zgłoszenia znalezisk.

Jak w rzeczywistości wygląda praca archeologa podwodnego? Naukowiec nurkuje i... no właśnie, co dzieje się dalej?

Jest to uzależnione od tego, gdzie taki archeolog pracuje. Jeśli jest naukowcem zatrudnionym na uniwersytecie, to zajmuje się dydaktyką, ale też prowadzi pracę naukowo-badawczą. Naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego oraz z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu prowadzą projekty badawcze skupione na różnych dziedzinach archeologii, m.in. badania podwodne jezior Nizżu Polskiego, weryfikacje znalezisk w rzekach np. w Wiśle. Czasami podejmują interwencję, gdy ktoś zgłasza znalezisko i weryfikują je w porozumieniu z konserwatorem. W ośrodku warszawskim prowadzimy też badania podwodne poza granicami na-

Nauka to polska specjalność

szego kraju, w Europie, w Zatoce Arabskiej (w Kuwejcie), Peru, a nawet zapuszczamy się w odległe kraje azjatyckie czy do Afryki.

Jeśli w czasie badań archeolodzy natrafią na jakiś obiekt, np. wrak, czyli stanowisko archeologiczne, muszą wykonać dokumentację, zabezpieczyć znalezisko, odpowiednio je zaraportować. Celem pracy jest ochrona stanowiska archeologicznego, ale też dołożenie wszelkich starań, żeby to dziedzictwo kulturowe, które jest dobrem społecznym, było dostępne dla każdego. Oczywiście, nie każdy chce i może nurkować, ale w dzisiejszych czasach technika pozwala nam na wizualizację, tworzenie modeli 3D i udostępnianie tych wirtualnych obrazów całemu społeczeństwu.

Czy ta dokumentacja dzieje się jeszcze pod wodą?

Tak. Pod wodą wykonujemy dokumentację fotograficzną i kiedyś powszechnie, a teraz rzadziej, dokumentację rysunkową. W razie przypadkowego odkrycia przez pletwonurków rekreacyjnych należy zrobić jak najwięcej zdjęć, najlepiej ze skalą, żeby oddać wymiary

Nauka to polska specjalność



Fot. Michał Piekarewicz

*Pozostałości ładunku statku antycznego. Wyspa Vis, Chorwacja.
Praktyki dla słuchaczy studiów podyplomowych „Archeologia
Podwodna” prowadzonych na Wydziale Archeologii UW.*

Nauka to polska specjalność

znaleziska oraz spróbować z jak największą dokładnością określić jego położenie.

Po wykonaniu pomiarów i zrobieniu zdjęć archeolog wydobywa przedmiot na powierzchnię czy zostawia go pod wodą?

Zostawia, zawsze. Podniesienie czegokolwiek i wydobywanie z dna może oznaczać zniszczenie zabytku oraz pozbawienie go kontekstu archeologicznego i przyrodniczego, dlatego wykonujemy badania „in situ”, pozostawiając przedmiot na dnie zbiornika wodnego i odpowiednio go zabezpieczając.

Po dokonaniu pomiarów i wyjściu na powierzchnię **ZNALEZISKO NALEŻY ZGŁOSIĆ SŁUŻBOM KONSERWATORSKIM** lub innej jednostce związanej z danym regionem. Można także zgłosić na policję, która ma obowiązek w ciągu trzech dni przekazać taką informację odpowiednim służbom.

Nauka to polska specjalność

Jeżeli takie znalezisko to np. wrak lub konstrukcja drewniana, należy zanotować jak najwięcej informacji, zrobić zdjęcia, zapamiętać położenie, kształt, rozmiar, wygląd – np. czy to wrak drewniany, czy metalowy, w jakim stanie się zachował itp. Istotne są wszystkie informacje. Jeżeli to znalezisko jest niestabilne i jego poruszenie grozi uszkodzeniem, musimy również wykonać należytą dokumentację i wtedy możemy taki przedmiot wydobyć, ale to zawsze wymaga rozwagi i niezwłocznego zgłoszenia służbom konserwatorskim.

Istnieje wtedy ryzyko, że nasze znalezisko odpłynie.

Może tak się zdarzyć, dlatego bardzo ważne jest, by dokładnie określić miejsce, w którym udało nam je się zauważyć.

A jeśli trafiamy na wrak? Czy zostaje on wydobyty z dna zbiornika wodnego?

Według konwencji o ochronie podwodnego dziedzictwa kulturowego podpisanej w Paryżu w 2001 roku przewidywane jest pozostawienie wraków na miejscu i niewydobywanie ich w ogóle. Ma to większy sens.

Nauka to polska specjalność

Wraki to zabytki wielkogabarytowe. Podniesienie wraku zawsze powinno być poprzedzone szczegółowymi badaniami, które mogą trwać wiele lat i które muszą odbywać się zgodnie z „protokołem”. Jeśli już wrak zostanie wydobyty, trzeba zapewnić mu odpowiedni transport, konserwację, wystawiennictwo, co czasem wiąże się z nawet budową nowego muzeum! W grę wchodzi bardzo duże pieniądze.

Najczęściej zatem wraków nie podnosimy, ale pozostawiamy je na dnie i tworzymy muzea wirtualne lub skanseny podwodne. Możemy wydobyć przedmioty, które były na dnie i które odnaleźliśmy w danym wraku, które są zagrożone zniszczeniem lub posłużą nam jako próby do badań analitycznych (ustalenie chronologii, pochodzenia i jakości ładunku). Wspaniałą ideą jest budowa podwodnych parków dla turystów, popularna zwłaszcza w regionie basenu Morza Śródziemnego i w krajach południowych. Tam parki podwodne są ogromną atrakcją turystyczną i doskonałym źródłem wiedzy.

*Nauka to polska specjalność***A gdybym chciała zostać archeologiem podwodnym - czy jest to możliwe? Czy do pracy archeologa podwodnego trzeba mieć predyspozycje?**

Musiałyby pani być czynnym płetwonurkiem i ukończyć studia na kierunku archeologia. To taka baza, pozwalająca wykonywać ten zawód. Uniwersytet Warszawski to jedyny wydział w Polsce, a może i w całej Europie, który oferuje studia podyplomowe z archeologii podwodnej dla płetwonurków. Studia trwają w zasadzie rok (1,5 roku z pisanem pracy dyplomowej), a naszymi słuchaczami są czynni nurkowie, którzy bardzo często później przekazują zdobytą wiedzę w swoich centrach nurkowych, wśród znajomych. To przynosi ogromny rezultat, wzrasta świadomość społeczna, dlatego warto edukować jak najwięcej osób.

W Polsce mamy jednak jeden problem związany z określeniem uprawnień dla badaczy prowadzących projekty podwodne, m.in. archeologów podwodnych.

Nauka to polska specjalność



Fot. Magdalena Sugalska

Badania podwodne na rzece Pilicy w okolicach Warki. Badania Wydziału Archeologii UW i Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie.

Nauka to polska specjalność

Archeologia podwodna, a co za tym idzie działalność archeologów podwodnych, podlega ustawie o ochronie zabytków, która określa możliwości prowadzenia badań, ale także ustawie o prowadzeniu prac podwodnych. Ta druga dotyczy głównie nurków zawodowych, których wykorzystuje się do prac podwodnych np. do kładzenia rur pod wodą, do prac na platformach czy przy budowie infrastruktury podwodnej.

Kilka lat temu prace badawcze zostały uwolnione spod tej ustawy, ale rozporządzenie nie określiło, jakie uprawnienia powinniśmy mieć jako archeolodzy podwodni. Na świecie zostało to rozwiązane uprawnieniami „scientific diver”. Ja jestem nurkiem zawodowym, musiałam odbyć specjalistyczne szkolenie i zdać trudny egzamin... spawać pod wodą, betonować pod wodą, było to atrakcyjne, ale nigdy więcej mi się nie przydało (śmiech).

Na Uniwersytecie Warszawskim, na naszym Wydziale, te uprawnienia mam tylko ja, w Toruniu ma je kilka osób i oczywiście ma je ekipa z Narodowego Mu-

Nauka to polska specjalność

zeum Morskiego. Gdyby udało się uwolnić nurkowanie dla nauki spod przepisów o wykonywaniu prac podwodnych i tytułu nurka zawodowego, moglibyśmy na tym wiele zyskać, bo szkolenia w ramach „scientific diver” naprawdę przygotowują badaczy do prowadzenia i wykonywania w sposób bezpieczny specyficznych, naukowych, podwodnych prac badawczych. 

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW
MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU
„SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki



Spółeczna
Odpowiedzialność
Nauki

KREWNI I URZĘDNICY KRÓLA JAGIEŁŁY

*Władysław II Jagiełło – fragment gotyckiego ołtarza z katedry
wawelskiej*

Fot. Domena publiczna

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

„Korona królów. Jagiellonowie” to serial TVP, który przedstawia panowanie króla Polski Władysława II Jagiełły oraz przybliża losy najbliższej rodziny i urzędników monarchy. Przed seansem **WARTO LEPIEJ POZNAĆ SYLWETKI NAJWAŻNIEJSZYCH OSÓB Z OTOCZENIA WŁADCY:** Witolda Kiejstutowicza, Anny Cylejskiej, Aleksandry Olgierdówny, czy Piotra Szafranca starszego.



Tekst: **Marek Teler**

Kontynuacja popularnego serialu TVP „Korona królów. Jagiellonowie” pojawiła się na ekranach 2 stycznia 2023 r., a jej fabuła rozpoczyna się w 1399 r., kiedy umiera pierwsza żona króla Władysława II Jagiełły, Jadwiga Andegaweńska. W kolejnych odcinkach ukazane zostaną kolejne wydarzenia z trwającego łącznie 48 lat panowania monarchy,

Historia

w tym starcie wojsk polsko-litewskich z Krzyżakami w bitwie pod Grunwaldem.

Bohaterami serialu oprócz pierwszego władcy z dynastii Jagiellonów, w którego wciela się Sebastian Skoczeń, są także między innymi członkowie jego rodziny i wiernie stojący przy królu urzędnicy. W rolę wielkiego księcia litewskiego Witolda Kiejstutowicza wciela się Michał Chorościński, w żonę Jagiełły Annę Cylejską Milena Staszuk, w Aleksandrę Olgierdównę Agnieszka Wagner, w Piotra Szafranca Jacek Kopczyński, a w Mikołaja Trąbę Radosław Pazura.

Witold Kiejstutowicz, wielki książę litewski

Wielki książę litewski Witold urodził się najprawdopodobniej między 1348 a 1355 r. jako syn księcia trockiego Kiejstuta i Biruty. Według przekazu kronikarza krzyżackiego Konrada Bitschina (Konrada z Byczyny) już w 1370 r. brał on udział w bitwie pod Rudawą, lecz wiarygodność tej informacji jest kwestionowana przez badaczy. Pierwszą samodzielną kampanię odbył w 1376 r., kiedy to dotarł do Tammowa koło Insterburga. W tym

Historia

czasie panował już w księstwie brzeskim na Podlasiu, a w 1377 r. brał udział w wojnie obronnej przeciw królowi Polski i Węgier Ludwikowi Węgierskiemu. Trafił wówczas do niewoli Wołochów, lecz w niedługim czasie odzyskał wolność.

Po śmierci swojego stryja Olgierda w maju 1377 r.

początkowo uznał władzę swojego stryjecznego brata Jagiełły, syna zmarłego władcy. Już jednak w 1381 r. wraz ze swoim ojcem **WYSTĄPIŁ PRZECIW NIEMU,**

a Kiejstutowi udało się na krótko przejąć władzę w Wielkim Księstwie Litewskim. W sierpniu 1382 r. obydwaj książęta zostali jednak pojmani i uwięzieni w Krewie, gdzie 15 sierpnia 1382 r. Kiejstut zakończył życie w tajemniczych okolicznościach. Wkrótce Witold uciekł z więzienia i nawiązał współpracę z Krzyżakami, z którymi brał udział w rejsach na Litwę. 21 października 1383 r. w Tapiau przyjął katolicki chrzest i imię Wigand



Fot. Domena publiczna

Wielki książę litewski Witold - centralna postać obrazu Jana Matejki "Bitwa pod Grunwaldem".

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

od swego ojca chrzestnego, komtura ragneckiego Wiganda von Beldersheima.

W 1384 r. Witold i Jagiełło pogodzili się, a Kiejstutowicz przyjął prawosławny chrzest i drugie imię Aleksander. Już jednak w lutym 1386 r. powrócił do religii katolickiej po tym, jak Jagiełło objął polski tron. Witold liczył wówczas na to, że odzyska swoją ojcowiznę, czyli Troki, lecz otrzymał jedynie Brześć, Drohiczyn, Kamieniec Litewski, Wołkowysk, Grodno i Suraż. Choć 10 maja 1386 r. Witold złożył królowi Władysławowi II Jagielle, jego żonie Jadwidze i Koronie Królestwa Polskiego hołd homagialny, jego stosunki ze stryjecznym bratem nie zawsze układały się poprawnie. Już w 1390 r. Kiejstutowicz brał udział w krucjacie krzyżackiej na Wilno, a rok później przy wsparciu zakonu wyruszył w okolice Kowna.

W 1392 r. pojednał się z polskim królem i otrzymał od niego Łuck, a w kolejnym roku także pozostałą część Wołynia z wyjątkiem Krzemieńca. Dawniejsi badacze uważali, że już w 1392 r. został namiestnikiem Wielkiego Księstwa Litewskiego, lecz obecnie przesuwają się

Historia

tę datę na rok 1395. Jako namiestnik pilnował księstwa między innymi przed zakusami młodszego brata Jagiełły, Świdrygiełły, który spiskował z Krzyżakami, by zająć Wilno. Już w 1398 r. Witold zaczął jednak prowadzić na własną rękę rozmowy z Krzyżakami, zawierając z nimi pokój na wyspie Salin, oddający zakonowi Żmudź po rzekę Nieważę. W 1401 r. zmienił jednak swoją politykę i wsparł bunt Żmudzinów przeciw zakonnikom.

Pod koniec lat 90. XIV wieku Witold popełnił jeden ze swoich największych politycznych błędów, sprzymierzając się z obalonym mongolskim chanem Tochtamyszem przeciwko mongolskiemu wodzowi Timurowi Chromemu zwanemu Tamerlanem. Chciał przywrócić mu władzę nad Złotą Ordą, lecz próby te zakończyły się wielką klęską wojsk Witolda w bitwie nad rzeką Worsklą 12 sierpnia 1399 r. W 1401 r. na mocy unii wileńsko-radomskiej Witold został dożywotnio wielkim księciem litewskim, przy czym Jagiełło miał być tytułowany „Najwyższym Księciem Litewskim”. Rok później Kiejstutowicz musiał ponownie zmierzyć

Historia

się ze Świdrygiełłą, który wraz z Krzyżakami organizował najazdy na Litwę, a nawet próbował bezskutecznie zdobyć Wilno. Spór ten zakończył się pokojem w Raciążku – Witold potwierdził wówczas postanowienia pokoju salińskiego, w którym odstępował Żmudź na rzecz zakonu krzyżackiego.

Jako wielki książę litewski Witold prowadził aktywną działalność ekspansyjną – w 1404 r. przyłączył do Litwy księstwo smoleńskie, następnie zaś organizował wyprawy na księstwo pskowskie, a nawet przeciw Moskwie. W maju 1409 r. ponownie wsparł powstanie Żmudzinów przeciw zakonowi krzyżackiemu, a 15 lipca 1410 r. stanął u boku Władysława II Jagiełły w bitwie pod Grunwaldem jako dowódca wojsk litewsko-ruskich. Rok później na mocy I pokoju toruńskiego odzyskał dożywotnio Żmudź, w której rządził twardą ręką. Kiedy w 1419 r. poganie na Żmudzi zbuntowali się przeciw Witoldowi, ich wystąpienie zostało krwawo stłumione – sześćdziesięciu przywódców buntu zostało ściętych. W 1422 r. na mocy pokoju mełneńskiego tymczasowa rezygnacja

Historia

Krzyżaków ze Żmudzi została zmieniona w rezygnację wieczystą.

We wrześniu 1421 r. husyci złożyli wielkiemu księciu Witoldowi propozycję objęcia czeskiego tronu. Wiosną 1422 r. władca wysłał Zygmunta Korybutowicza w charakterze namiestnika do Pragi, lecz po pokoju mełneńskim zerwał kontakty z husytami, które kompromitowały go w oczach świata katolickiego. W styczniu 1429 r. na zjeździe w Łucku król Niemiec i Węgier

Zygmunt Luksemburski wystąpił z kolei z propozycją mianowania Witolda królem Litwy. Inicjatywa monarchy miała na celu **ZASZKODZENIE UNII POLSKO-LITEWSKIEJ**

i faktycznie projekt ten podzielił Polaków i Litwinów. Litewscy możni wspierali pomysł koronacji, a polscy z biskupem krakowskim Zbigniewem Oleśnickim na czele sprzeciwiali się tym planom. Ostatecznie koronacja nie doszła do skutku, m.in. z powodu sprzeciwu

Historia

papieża Marcina V i zdemaskowania cesarskiej intrygi przeciw Królestwu Polskiemu. Sędziwy wielki książę litewski był już zresztą wówczas bardzo schorowany – zmarł 27 października 1430 r. w Trokach w obecności króla Władysława II Jagiełły, z którym przez lata łączyły go bardzo trudne i zmienne relacje.

Witold najprawdopodobniej dwukrotnie wstępował w związki małżeńskie. Informacja z późnej i mało wiarygodnej Kroniki Bychowca, jakoby jego pierwszą żoną była nieznana bliżej Maria Łukomska, została zakwestionowana przez badaczy. Na przełomie lat 60. i 70. XIV wieku Kiejstutowicz ożenił się z Anną, córką księcia smoleńskiego Światosława Iwanowica. Ze związku tego pochodziła córka Zofia, która 9 stycznia 1391 r. została żoną wielkiego księcia moskiewskiego Wasyla I. Pierwsza żona Witolda zmarła 31 lipca 1418 r. i została pochowana przy głównym ołtarzu katedry wileńskiej. 13 listopada 1418 r. w Grodnie wielki książę litewski ożenił się ponownie, a jego drugą żoną została Julianna Holszańska, wdowa po Iwanie Karaczewskim. Małżeństwo to było bezpotomne.

Anna Cylejska, czyli druga żona Władysława Jagiełły

Druga żona króla Władysława II Jagiełły, Anna Cylejska, przyszła na świat ok. 1381 r. jako córka hrabiego Wilhelma von Cilli i królowny Anny Kazimierzówny. Była wnuczką króla Polski Kazimierza III Wielkiego i ponoć to właśnie dlatego sama Jadwiga Andegaweńska na łożu śmierci prosiła Jagiełłę, by to właśnie z hrabianką z Celje związał się po jej śmierci. Monarcha dostosował się do ostatniej woli pierwszej żony i po otrzymaniu dyspensy od papieża Bonifacego IX 23 kwietnia 1401 r. rozpoczął przygotowania do ślubu z Anną Cylejską.

16 lipca 1401 r. Anna przybyła do Krakowa, lecz jej ślub z polskim monarchą odbył się dopiero 29 stycznia 1402 r. w katedrze na Wawelu. Oficjalnie małżeństwo było odwlekane z powodu niedostatecznego opanowania przez Annę języka polskiego, lecz nieoficjalnie mówiono, że wybranka nie przypadła królowi do gustu. Dostyc późno, bo dopiero 25 lutego 1403 r. od-

Historia

była się też koronacja hrabianki z Celje. Koronę królowej otrzymała z rąk arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Kurowskiego, a na uroczystości pojawiła się także matka Anny, która z dumą patrzyła, jak jej córka zostaje polską monarchinią.

Anna Cylejska nie angażowała się w życie polityczne, ograniczając się jedynie do towarzyszenia mężowi w czasie oficjalnych uroczystości. Wspólnie podejmowali na Wawelu członków rodziny monarchini, a w 1412 r. organizowali wesele księżniczki mazowieckiej Cymbarki z księciem austriackim Ernestem Żelaznym. W tym samym roku Anna wzięła też udział w zjeździe Jagiełły i króla niemieckiego Zygmunta Luksemburskiego na Spiszu.

Relacje pary nie zawsze układały się jednak poprawnie, a w 1407 r. starosta krakowski Klemens z Moskorzewa oskarżył ją o pozamałżeńskie stosunki z rycerzami Jakubem z Kobylan i Mikołajem Chrzastowskim. Ostatecznie królowa została oczyszczona z zarzutów jeszcze przed narodzinami swojej jedynej córki ze związku z monarchą, Jadwigi,

Historia

która przyszła na świat 8 kwietnia 1408 r. w Krakowie. Nie uciszyło to jednak plotek, które podobno były częściowo inspirowane przez Krzyżaków, pragnących poniżyć Jagiełłę w oczach królewskiego dworu.

W 1411 r. zaczęto na Wawelu opowiadać O RZEKOMYM ROMANSIE ANNY CYLEJSKIEJ z samym arcybiskupem Kurowskim, lecz na szczęście wkrótce kompromitujące władczynię pogłoski ucichły.

Władysław II Jagiełło najwidoczniej nie dał wiary oskarżeniom wysuwany przeciw jego żonie, ponieważ towarzyszyła mu ona, kiedy w latach 1413–1414 prowadził misję chrystianizacyjną na terenie Żmudzi. Królowa Anna Cylejska zmarła po kilkumiesięcznej chorobie 20 lub 21 marca 1416 r. w Krakowie i została pochowana w pobliżu ołtarza św. Doroty w katedrze na Wawelu.

Siostra króla Aleksandra Olgierdówna

Aleksandra była młodszą siostrą króla Polski i wielkiego księcia litewskiego Władysława II Jagiełły. Przyszła na świat ok. 1370 r. jako córka wielkiego księcia litewskiego Olgierda i księżniczki twerskiej Julianny. Najprawdopodobniej w lutym 1387 r. została żoną księcia mazowieckiego Siemowita IV. Małżeństwo to zostało uzgodnione pod koniec 1385 r., kiedy jej brat Jagiełło spotkał się z władcą Mazowsza, aby nakłonić go do rezygnacji z pretensji do polskiego tronu. Ostatecznie Siemowit IV zgodził się poprzeć elekcję Jagiełły w zamian za obietnicę nadań ziem ruskich i rękę litewskiej księżniczki.

Małżeństwo Aleksandry i Siemowita IV przetrwało niemal czterdzieści lat, a ze związku tego narodziło się trzynaścioro dzieci. Synowie Siemowit V, Kazimierz II, Trojden II, Władysław I podzielili między sobą ziemię mazowiecką, a Aleksander był biskupem trydenckim, tytularnym patriarchą Akwilei i biskupem Chur oraz kardynałem z nominacji antypapieża

Historia

Fot. Domena publiczna

Aleksandra Olgierdówna narysowana przez Jana Matejkę

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

Historia

Feliksa V. Z córek warto wspomnieć przede wszystkim o Cymbarce, która wyszła za mąż za księcia austriackiego Ernesta Żelaznego i stała się matką dynastii Habsburgów.

Aleksandra Olgierdówna cieszyła się wielką przyjaźnią i dużym zaufaniem swojego brata. Chociaż jak większość księżnych czasów średniowiecza nie uczestniczyła aktywnie w życiu politycznym, miała dosyć duży wpływ na łagodzenie niejednokrotnie dość napiętych relacji między polskim dworem i księstwem mazowieckim, a w czasach pokoju nawet z zakonem krzyżackim. Polski monarcha zawsze przyjmował siostrę na krakowskim dworze z wielką życzliwością – w czasie jej kilkumiesięcznej wizyty na Wawelu w pierwszej połowie 1394 r. otrzymała od Jagiełły kwotę 130 grzywien. Według kroniki Jana Długosza to właśnie za sprawą Aleksandry rozwinęła się relacja polskiego króla z Elżbietą Granowską, wdową po kasztelanie nakielskim Wincentym Granowskim, która spotkała się z dużą niechęcią ze strony poddanych władcy.

Historia

Książę Siemowit IV zmarł 6 stycznia 1426 r. w Gostyninie, a Aleksandra przeżyła go o osiem lat. Po śmierci męża poświęciła się przede wszystkim działalności fundacyjnej, między innymi w latach 1430–1431 obdarzyła budynkiem i ogrodem augustianów w Rawie. Należała też do grona hojnych dobrodziejów Uniwersytetu Krakowskiego, który w uznaniu jej szczodrości zaliczył ją do grona honorowych studentów uczelni. Księżna mazowiecka Aleksandra zmarła 19 czerwca 1434 r. i została najprawdopodobniej pochowana w klasztorze dominikanów Świętej Trójcy w Płocku.

Piotr Szafraniec starszy, czyli wierny człowiek polskiego władcy

Piotr Szafraniec z Pieskowej Skały i Łuczyc herbu Staroń był synem podstolego krakowskiego Piotra Szafranca i nieznannej bliżej Katarzyny. Miał trzech braci Jana, Stanisława i Tomasza oraz dwie siostry Konstancję, żonę Jakuba z Koniecpola, i nieznaną z imienia, żonę Imrama z Chrzastowa. Największą karierę z rodu Szafranców zrobił obok Piotra Jan Szafraniec. Był on bo-

wiem biskupem kujawsko-pomorskim i rektorem Uniwersytetu Krakowskiego, a także podkanclerzym koronnym w latach 1418–1423 i kanclerzem wielkim koronnym w latach 1423–1433.

W listopadzie 1398 r. Piotr objął urząd podstolego krakowskiego, który sprawował przez kolejnych osiem lat. W 1401 r. był jednym z sygnatariuszy unii wileńsko-radomskiej, na mocy której Witold Kiejstutowicz obejmował dożywotnio rządy na Litwie, zachowując jednocześnie władzę zwierzchnią w rękach Jagiełły. W 1406 r. polski monarcha mianował Szafranca podkomorzym krakowskim, co sprawiło, że stał się jednym z najważniejszych urzędników na terenie Małopolski. Urząd ten sprawował do 1430 r. i był też starostą łęczyckim, chęcińskim, sieradzkim i krakowskim.

Swoją lojalność wobec władcy i waleczność Piotr Szafraniec udowodnił w czasie wielkiej wojny polsko-krzyżackiej w latach 1409–1411. Stanął z własną chorągwią do bitwy pod Grunwaldem 15 lipca 1410 r., a 5 listopada 1410 r. dowodził podobno oddziałami królewskimi w czasie zwycięskiej dla Polaków bitwy z Krzy-

żakami pod Tucholą. Ta druga informacja bywa jednak kwestionowana przez współczesnych badaczy.

Podpisu podkomorzego nie mogło zabraknąć na najważniejszych dla Królestwa Polskiego dokumentach.

W 1411 r. znalazł się **W GRONIE SYGNATARIUSZY POKOJU TORUŃSKIEGO**, w 1413 r. unii horodelskiej, a w 1422 r. pokoju mełneńskiego.

W 1430 r. był z kolei świadkiem wystawienia przez polskiego monarchę przywileju jedlneńskiego. W latach 1429–1430 wraz z bratem Janem otwarcie sprzeciwiał się planom koronacji wielkiego księcia Witolda na króla Litwy.

W styczniu 1431 r. podkomorstwo krakowskie przejął po Piotrze Szafrąncu jego syn, nazywany Piotrem Szafrąncem młodszym. W tym samym roku Piotr Szafraniec starszy został wojewodą sandomierskim, a dwa lata później krakowskim. Jego podpis znalazł się na podpisanym 31 grudnia 1435 r. akcie pokoju

Historia

w Brześciu Kujawskim, który kończył kolejną wojnę polsko-krzyżacką z lat 1431-1435. Przez cały okres panowania króla Władysława Jagiełły Szafraniec wiernie stał u jego boku, a po śmierci monarchy 1 czerwca 1434 r. wspierał utrzymanie jego potomków na polskim tronie. Był właścicielem zamku w Pieskowej Skale i hojnym darczyńcą Uniwersytetu Krakowskiego.

Piotr Szafraniec starszy zmarł 22 lutego 1437 r. i został pochowany w kaplicy pod wieżą srebrnych dzwonów w katedrze na Wawelu. Był dwukrotnie żonaty. Z pierwszego małżeństwa doczekał się wspomnianego już syna Piotra i córki Katarzyny, żony Marcina z Moskorzowa, a z drugiego z Różą dwóch córek: Elżbiety, żony Mikołaja z Irządź i Pukarzowa, i Katarzyny, żony Krystyna z Koziegłów.

Arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba

Arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba urodził się ok. 1358 r. w Sandomierzu jako nieślubny syn scholastyka i dziekana kolegiaty sandomierskiej Jakuba oraz

Mikołaj Trąba - miniatura z Katalogu Arcybiskupów Gnieźnieńskich z pierwszej poł. XVI wieku.



nieznanego bliżej pochodzenia Anny lub Elżbiety. Jego matka wyszła za mąż za Wilhelma z Okaliny herbu Trąba, rządcę dóbr królewskich w ziemi sandomierskiej, który usynowił Mikołaja i nadał mu swój herb. Mikołaj zdobył edukację w szkole katedralnej w Sandomierzu, a następnie przyjął święcenia kapłańskie.

Swoją karierę na królewskim dworze rozpoczął w 1386 r. jako spowiednik króla Władysława Jagiełły, a już cztery lata później został notariuszem królewskim. W 1403 r. otrzymał urząd podkanclerzego koronnego i sprawował go przez kolejnych dziewięć lat. Władysław II Jagiełło uczynił go jednym ze swoich najbliższych doradców, a pomoc Trąby okazała się szczególnie cenna w czasie konfliktu władcy z zakonem krzyżackim. Trąba był bowiem zwolennikiem twardej antykrzyżackiej polityki i to zapewne za jego przyczyną kancelaria królewska wydała 10 sierpnia 1409 r. w Opatowie memoriał przypominający zasługi Jagiełły na rzecz chrystianizacji Litwy, a następnie kolejny w Wolborzu 9 września 1409 r., w którym rozprawiano się

Historia

z krzyżackimi plotkami, jakoby polski monarcha chciał tępić chrześcijaństwo z pomocą pogan. W memoriale tym nazwano nawet Krzyżaków wprost „synami diabła”, kierującymi się w swej działalności przede wszystkim kłamstwem i oszczerstwem.

Mikołaj Trąba towarzyszył Władysławowi II Jagielle w czasie bitwy pod Grunwaldem, a następnie w trakcie oblężenia Malborka. Namawiał monarchę do walki o stolicę krzyżacką za wszelką cenę, lecz ostatecznie zaprzestano prób zdobycia miasta, a 1 lutego 1411 został zawarty I pokój toruński. To właśnie Trąbie przypisuje się spisanie dziejów wojny polsko-krzyżackiej w kronice „Cronica conflictus Wladislai Regis Poloniae cum Cruciferis anno Christi 1410”, która stanowi cenne źródło informacji o przebiegu działań zbrojnych.

W latach 1410–1412 Mikołaj Trąba był arcybiskupem lwowskim, a w latach 1412–1422 arcybiskupem gnieźnieńskim. Został także przewodniczącym polskiej delegacji na soborze w Konstancji, który odbywał się od 16 listopada 1414 r. do 22 kwietnia 1418 r. W 1417 r. został pierwszym prymasem Polski, po tym,

Historia

jak odmówił przyjęcia z rąk papieża Marcina V godności kardynalskiej. Ta odmowa spotkała się z dużą krytyką na królewskim dworze, a po powrocie z soboru arcybiskup musiał nawet złożyć przysięgę oczyszczającą z zarzutu zdrady. Jednym z ostatnich wydarzeń, w których brał udział Mikołaj Trąba, było wystawienie przez Władysława II Jagiełłę przywileju czerwińskiego 23 lipca 1422 r.

Arcybiskup gnieźnieński zmarł 2 grudnia 1422 r. w Lubicy na Spiszu na Węgrzech, a po sprowadzeniu ciała do Polski przez Jana z Tuliszkowa został pochowany przed grobem św. Wojciecha w nawie głównej katedry gnieźnieńskiej. 

Fot. Tyndyk/Lach/TR Warszawa

*Maria
Maj*

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

NIE JESTEM AKTORKĄ BARDZO ROZPOZNAWALNĄ

*Przyjaciele są dla mnie bardzo ważni, związki się rozpadają, poza tym jak wiadomo, mężczyźni wcześniej umierają, dzieci rozczarowują, bo są zajęte sobą i nie chcą, żeby się wchrzaniać w ich życie za bardzo, więc jeżeli człowiek nie ma swojego, własnego świata, swoich własnych zainteresowań, **SWOJEJ GRUPY LUDZI, Z KTÓRYMI JEST MU DOBRZE, TO MARNIE JEGO ŻYCIE WYGLĄDA – MÓWI MARIA MAJ, aktorka.***



Rozmawiał: **Wiktor Krajewski**

Interesuje się pani tym, co media o pani piszą?

Nie zajmuję się tym za bardzo.

Dlaczego?

Bo mnie to przeraża. Udzielanie wywiadów należy do mojego zawodu, ale wolałabym pozostać anonimowa, tym bardziej, że zwykle opowiadam o sobie szczerze. Zresztą później autoryzuję tekst, ale różne portale plotkarskie często wyławiają z tego smakowite kąski, publikują je i nie mam na to wpływu.

Media wyciągają na światło dzienne różne rzeczy. Nie napiszą o kimś, kto ma wszystko w porządku, bo to jest nieciekawe, dramaty się sprzedają. On rzucił ją, ona jego, raka pokonała, dziecko wyrzucili jej ze szkoły, jego zwolnili z serialu, zagląda do kieliszka, bo on zламаł jej serce. Takie scenariusze! A później te komentarze pod tekstami. Wolę nie interesować się tym, co ludzie o mnie myślą.

W ogóle? Nic a nic?

W ogóle mnie interesuje bardzo, ale przerażają mnie opinie ludzi, którzy nie znają mnie, a oceniają, ale to jest

cena tego, że się coś mówi o swoim prywatnym życiu. Wolę nie ponosić zbędnych kosztów.

Na szczęście nie jestem aktorką bardzo rozpoznawalną. W teatrze funkcjonuję ponad 50 lat i raczej jestem znana głównie bywalcom teatru, środowisku teatrologów. Do kina weszłam dość późno, a już do mainstreamu to w ogóle: bardzo późno, ale mam swoich wielbicieli i bardzo zagorzałych widzów, którzy bardzo mnie lubią.

Z „filmówki” wywalili panią po pierwszym roku.

Widocznie się nie nadawałam.

A który przedmiot okazał się tak problematyczny?

Maria Maj

– niegdyś aktorka alternatywna, dziś jest też w mainstreamie. Choć nie uznaje określenia „gwiazda”, niewątpliwie jest gwiazdą Teatru Rozmaitości w Warszawie. Ale widzowie znają ją nie tylko z teatru, ale wielu filmów i seriali. „Wielka woda”, „Belfer”, „Wataha” czy „1983” to tylko promil artystycznego dorobku Marii Maj. Prywatnie jest babcią, prababcią i właścicielką kotki Wandy. Czyta wszystko, co da się przeczytać.

Tempo, oddech. Nie potrafiłam na właściwym oddechu wypowiedzieć wierszyka o koguciku. Jakoś nie bardzo tam pasowałam. Państwo, którzy mnie przyjmowali do tej szkoły – najwidoczniej – pomylili się. Ale mimo to grałam, gram i na razie będę grać.

Chodziłam do liceum Trójki. W Łodzi. Było to dobre liceum, ja miałam jeszcze taką super klasę, fajną. Ja tam rej wodziłam nie tylko jako ta, co mówi wierszyki na akademiach, ale również jako „intelektualistka”, jeśli chodzi o język polski. Bardzo dużo czytałam. W tym wieku licealnym człowiek ma różne snobizmy. Ja poszłam właśnie w intelekt. Studia mnie rozczarowały. A poza tym tak naprawdę zainteresowana byłam kandydatem na męża.

Najpierw pracowała pani w teatrze Arlekin.

Jak wyszłam z tej szkoły, to musiałam coś robić. Mogłam się postarać, żeby zostać, napisać odwołania. Pewnie bym się jakoś przeturlała, ale niczego bym się nie nauczyła, zszarpałabym sobie nerwy, zniszczyłabym siebie, nic by mi to naprawdę nie dało, więc zaangażowałam się do teatru lalek jako adeptka. Dzięki temu po-

znałam tam naprawdę fantastycznych ludzi. Oczywiście przyszłam tam z nosem do góry, bo czułam się lepsza od aktorów-lalkarzy, byłam ze szkoły teatralnej. Zespół aktorów z Arlekina oczarował mnie. Wspaniali ludzie z pasją, oddający się swojemu zawodowi. Tam byłam w sumie pięć lat, zdałam eksternistycznie egzamin lalkowy. Zafascynowałam się teatrem formy.

Wyszłam za mąż. Coś się jednak udało.

„Mąż po skończeniu szkoły teatralnej dostał propozycję pracy w Jeleniej Górze. **POJECHALIŚMY TAM OBOJE.** Z dala od miasta, góry...

No cudnie! Henryk Tomaszewski, twórca pantomimy wrocławskiej, którą byłam zafascynowana, reżyserował przedstawienia w teatrze jeleniogórskim. W Jeleniej Górze zdałam egzamin eksternistyczny na aktorkę dramatu. Potem dalej się już rzeczy same potoczyły. Przyszli młodzi zdolni: Krystian Lupa, Mikołaj Grabowski. Budowaliśmy swoją utopię.

Przełomy historyczne powodowały różne wstrząsy w moim życiu. W teatrze Izabeli Cywińskiej pracowałam z Januszem Wiśniewskim, jeździliśmy ze spektaklami po całym świecie. Pani dyrektor Izabela Cywińska nie bardzo mogła prowadzić teatr, bo ciągle były te wyjazdy.

To był koniec lat 80., naprawdę nic nie było w Polsce, a my jeździliśmy po świecie, mieliśmy ogromne sukcesy, dostawaliśmy diety, za które kupowaliśmy różne smakołyki, ubrania, albo po prostu oszczędzaliśmy te pieniądze.

Nie kusilo panią, żeby z takiego wyjazdu nie wrócić już do Polski?

Nigdy. Teraz może trochę żałuję. Tyle, że ja bym nie umiała żyć poza Polską. Miałam różne propozycje, a to studiowania w szkole czeskiej reżyserii lalkarskiej. Oczywiście musiałabym zdać wszystkie egzaminy. Albo pracę w Wenezueli, też w szkole teatralnej, ale do głowy by mi to nie przyszło, żeby żyć poza Polską. Ja tu jestem związana z tym językiem. Językiem polskim.

Patriotyzm?



Fot. JAROSŁAW SOSIŃSKI / SERCE

Maria Maj w filmie „Wszystkie nasze strachy” (2021)

Nie, ja chcę być w swoim kraju, kocham nasz język. Tu są moje teatry, którymi się zafascynowałam, moją rodziną, moi przyjaciele. Lubię tu być, nie chce mi się nigdzie wyjeżdżać. Może rozsądniej byłoby jednak tak zostać gdzieś z dala od Polski. Ale nie zostałam i jestem.

Jak to się stało, że została pani sekretarką w Teatrze Buffo?

Razem z grupą aktorów Janusza Wiśniewskiego mieliśmy obiecane miejsca w Warszawie na teatr, wszystko od warszawskich władz. Ale nastąpiła transformacja, zmienił się system. Nie mieliśmy żadnych perspektyw. W pewnym momencie zrobiło się ciężko, zaczęłam krzyczeć: „Na litość boską pomóżcie mi, muszę jakąś pracę zdobyć dodatkową, bo nie ma z czego żyć. Mam na utrzymaniu jeszcze córkę”.

W związku z tym, państwo Stokłosowie zareagowali. Wtedy „Metro” okazało się wielkim sukcesem, po którym otworzył się Teatr Buffo w Warszawie. Na początku byłam asystentką Janusza Stokłosy, który prowadził wydawnictwo muzyczne. Potem byłam impresariem, doradzałam w pewnych sprawach, ale stwierdziłam,

że jednak szkoda mojego czasu.

Miała pani poczucie, że dopadła panią szarość życia za biurkiem?

Nie miałam. Mnie naprawdę interesował teatr, a nie ja w teatrze. To jest taki rodzaj zakochania. To, że służyłam teatrowi w inny sposób, nie było dla mnie kompletnie czymś upokarzającym. Pracowałam z twórcami „Metra” i dawało mi to wystarczającą satysfakcję.

Widocznie podświadomie czułam, że na backstage’u nie jest moje miejsce, że powinnam być na scenie. Ale

*jakos nigdy do końca nie miałam świadomości, że chcę być aktorką. **MNIE ZA-LEŻAŁO, ŻEBY BYĆ W TEATRZE,** obok teatru, żeby być jego częścią.*

Najbardziej by mi odpowiadało być żoną jakiegoś aktora albo reżysera, albo dyrektora teatru.

Chodzić na premiery...

Tak... A wieczorami rozmawiać z mężem o teatrze. Bałam się ponoszenia kosztów tego zawodu.

Jakie koszty pani ponosi?

Psychiczne. Być może nie nauczyłam się mechanizmów obronnych, które by chroniły mnie, moją wrażliwość przed tym wszystkim, na co narażony jest aktor. Zawsze wchodziłam w te postacie, które grałam, do końca. Może to jest też taki rodzaj asekuracji, że lepiej przeżyć coś na scenie na niby, niż przeżywać to w życiu. Tyle, że ja się w to angażowałam, przeżywałam to naprawdę, więc to było trochę niezdrowe. Nadal tak jest. Wydaje mi się, że nie można zagrać dobrze roli, jeżeli człowiek się nie zaangażuje całym sobą, nie poczuje tej postaci, którą gra, tej tragedii czy komedii, którą gra. Jest to bardzo trudny zawód. Jeżeli są aktorzy, którzy grają w telenowelach czy serialach, w których nic się nie dzieje specjalnie ważnego, spokojnie mogą sobie przetrwać rozkosznie. Kiedy naprawdę pracuje się w teatrze i to tak mocno, to kosztuje.

Granie w tasiemcach też ma swoją cenę, kolejna scena nalewania herbatki. Trochę nuda, nie sądzi pani?

Faktycznie. Przepraszam, że tak mówię, bo faktycznie może to być nudne i niekreatywne, nieciekawe i rozczarowujące. Takie odczucia też są kosztami do poniesienia.

Która rola była dla pani najbardziej „kosztowna”?

Trudno powiedzieć. Sam zawód już jest stresujący. Ja pracowałam raczej z artystami, a oni mają dość specyficzne psychiki.

Aktorzy i aktorki?

Mówię o reżyserach. Różnie wygląda ta praca. Człowiek się bardzo stara i chce, żeby to dobrze wypadło, ale nie jest pewien finału. Każdy może pana ocenić i powiedzieć, że jest pan okropny, brzydki, niedobry, i – na dodatek! – głupi, albo coś jeszcze gorszego. Aktor narażony jest się na ciągłą ocenę, również ocenę kolegów, to ego może podlegać różnym urazom, co też może się okazać dobrym ćwiczeniem. Człowiek do końca nie wie, czy dobrze to zrobił, czy źle. Opinia innych jest lustrem.

W teatrze człowiek jest nagi, obnażony, zależny od oceny reżysera. Stąd też te wszystkie mobbingi, nadużywania władzy. Reżyser ma dużą władzę i to może

być raniące. A w filmie mogę zobaczyć, jak zagrałam i wtedy tylko patrzę czy kłamię, czy nie. Jeśli nie kłamię, już jest ok.

Dałem się złapać na to, że aktorstwo płynie pani we krwi i pani tym oddycha.

Tak, teatrem oddycham, w ogóle sztuką oddycham. Mam swoją bazę, to mnie trzyma. Jeżeli, nie ma żadnej propozycji, czy jest słabiej, to ja jestem szczęśliwa, bo mam wtedy czas, żeby podziwiać sztukę.

*Całe życie jeździłam do Krakowa, do ukochanego Starego Teatru, czy do Wrocławia, żeby **OGLĄDAĆ SPEKTAKLE. JAKO WIDZ** również czułam się usatysfakcjonowana.*

Ile lat pracuje pani w TR Warszawa?

W teatrze prawie 30, z dyрекcją Grzegorza Jarzyny 25.

Urodziła się pani trzy lata po zakończeniu wojny. Osoby urodzone po wojnie, trafiły na trudne czasy, naznaczone traumą.

Ogromne. Myśmy nie przeżyli wojny, natomiast słyszeliśmy, byliśmy cały czas bombardowani strasliwymi opowieściami, które oczywiście w naszej wyobraźni rosły nieprawdopodobnie, takie też były filmy, opowieści rodziców, krewnych, wszystko było bardzo traumatyczne i działające na wyobraźnię raczej negatywnie.

Jest coś takiego, jak dziedziczenie traumy.

Oczywiście. Polacy mają tego potąd, po sam czubek.

Ma pani jeszcze kota Wandę?

Mam, śpi teraz w domu.

Jest pani najlepszą przyjaciółką?

Ona jest trochę wredna, ale czasami z przyjaciółkami też tak bywa. Bardzo ją kocham. Ma już 9 lat.

Dlaczego nazywa się Wanda?

Wanda... Bo ona mi przypomina moją koleżankę, która zmarła zbyt wcześnie. Chodzi mi o aktorkę Wandę Ostrowską. Jak ją poznałam – kota, nie Wandę – to powiedziałam, że to będzie Wandzia i tak została.

Wnuczki oglądają panią na scenie?



Fot. Paweł Drabik

Maria Maj w siódmym odcinku serialu „Planeta singli. Osiem historii” (2021)

Oczywiście. Prawnuki niestety jeszcze nie. Mnie się w ogóle wydaje, że jestem za młoda jak na swoje lata. Tak samo za młoda jestem na prababcię.

Co one pani mówią, oglądając babcię w tak „odpałowych” rolach?

Ja wiem, czy one są tak „odpałowe”? Mam dwie wnuczki, jedna ma 26 lat, druga 31 lat, więc one są już doświadczone. Poza tym starsza wychowywała się w teatrze, rosła razem z TR-em. Ma dystans do tego, czym się zajmuję. Moje wnuki nie traktują mnie jak aktorkę, tylko jak babcię. Taką ciepłą albo szurniętą staruszkę.

Moja córka nie bardzo lubiła teatr ze względu na to, że ja tam tak cierpiałam. Poza tym uważała, że teatr mnie jej zabiera. Wnuczki... Nie wiem na dobrą sprawę, co one myślą o tym tak do końca. Lubią ten świat, on jest dla nich moim światem i tyle.

Ja im bardzo zazdroszczę, że jest pani ich babcią. Gdyby była pani moją babcią, cały czas prosiłbym panią, żeby mówiła pani do mnie tekstami ze spektaklu „Między nami dobrze jest”.

Podejrzewam, że trochę się wstydzą, że ja gram grubą Bożenkę, że taka babcia gruba jest w tym spektaklu. Ja bardzo kocham ten spektakl i zresztą kocham grać z Ma-dzią Kutą, która jest w teatrze od lat. Jeszcze Danusia Szaflarska, jak grała z nami, to też było niesamowite.

Dorota Masłowska to pani ulubiona pisarka?

Uwielbiam Dorotę. Grałam w trzech spektaklach jej autorstwa: „Inni ludzie”, „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku” i „Między nami dobrze jest”. Złapałam się na tym, że człowiek zaczynał nasiąkać językiem Doroty.

Jak pani o sobie myśli w kwestii swojego wieku?

Pojawia się myślenie, że jest pani stara?

Patrzę na siebie i mówię: O rany, ale się zestarzałam. Pamiętam jak Danuta Szaflarska, która była z nami w teatrze przez ostatnie 17 lat swojego życia –jak siedziałyśmy obok siebie w garderobie – i ona przeglądała się w lustrze i pytała: „Kiedy ja się tak zestarzałam?”. Jej obecność była dla mnie bardzo ważna, bo na co dzień obserwowałam, jak radzi sobie ze starością. Wszyscy byliśmy w niej zakochani.

Ma pani koleżanki, które nie są aktorkami?

Pewnie.

Kto jest pani najlepszą przyjaciółką poza Wandą?

Mam kilka przyjaciółek, najbardziej przyjaźnię się z Joanną Braun, scenografką. Ona jest moim przewodnikiem, starsza ode mnie o sześć lat, więc ja mam takie zdanie skądś zaczerpnięte, z mądrych ksiąg, że

*nie ten jest twoim przewodnikiem, który idzie przed tobą 100 kilometrów, tylko **TEN, KTO IDZIE 50 METRÓW.** I rzeczywiście tak jest.*

Bardzo ją szanuję, cenię i lubię. Przyjaciele są dla mnie bardzo ważni, związki się rozpadają, poza tym jak wiadomo, mężczyźni wcześniej umierają, dzieci rozczarowują, bo są zajęte sobą i nie chcą, żeby się wchrzaniać w ich życie za bardzo, nawet przy największej trosce, więc jeżeli człowiek nie ma swojego, własnego świata, swoich własnych zainteresowań, swojej grupy ludzi, z którymi jest mu dobrze, to marnie jego życie wygląda.

Zaprasza pani wnuczki na obiad?

Nie zapraszam. Jestem gotującą babcią, ale już mi się nie chce robić obiadów i zapraszać rodziny. Mamy swoje rytuały, że wnuczka przychodzi do mnie na kawkę i wtedy opowiadamy sobie wszystko. Druga wnuczka mieszka troszkę dalej, pracuje, mniej się kontaktujemy, ale też spotykamy się co jakiś czas. Nie zapraszamy się na obiady, nic oficjalnego po prostu.

Czasem biorę prawnuczkę czy prawnuka na nocowanie i spędzamy czas razem, gramy w różne gry, pracujemy nad czymś, nagrywam filmy i potem to oglądamy. Nie chodzę z nimi do kina, bo mi się nie chce, chociaż kiedyś poszłam z wnuczką na „Harry’ego Pottera”, jak pierwszy raz się pojawił w kinie. Nigdy nie zapomnę, jak ona się wtuliła we mnie i powiedziała, że tak mnie kocha, bo ta sala ze świecami, które unosiły się do góry, cały Hogwart, to było dla niej takie przeżycie... Ale to było chyba moje ostatnie wyjście do kina z wnuczką. Teraz już chyba mi się nie chce.

Ale grać się pani chce.

Gram w wielu spektaklach z repertuaru. „Trzy Siostry”, „Innych ludzi”, „Moją Walkę” „Woyzeck”, „Stream”, „Tom na wsi”, „Ewelina Płacze”, czy „Fantazja”. Teraz będziemy przygotowywać premierę od stycznia. „Trylogia z Donbasu” ukraińskiej pisarki Leny Laguszkowej. To będzie reżyserować Ola Popławska. Gra tam prawie cały zespół tak żebyśmy mogli się spotkać razem, bo już za bardzo się rozdzieliliśmy.

Kiedy poznacie nowego dyrektora TR?

Ogłoszony konkurs zostanie rozstrzygnięty 9 stycznia. Wtedy też dowiemy się, jakie są wyniki, czyli jaka przyszłość nas czeka. Teatr jest zespołowy i w zespole jest jego siła. Odeszło 30 osób, nawet chyba więcej... Dalej by się nie dało pracować w takim konflikcie, nieporozumieniu, więc dobrze się stało, jak się stało, chociaż to było bardzo kosztowne.

Po burzy zawsze przychodzi słońce?

Kciuki. Proszę trzymać za nas kciuki, żeby wreszcie wyszło to słońce. 

MIĘDZY TROLLEM A STAŃCZYKIEM



Fot. Tobias Henriksson

<< SPIS TREŚCI

NASTĘPNY ARTYKUŁ >

Obrzydliwie bogaci ignoranci na luksusowym jachcie toną w morzu nieczystości. To fabularna kłamra „W TRÓJKĄCIE”. ZMĘCZONA NIEUSTANNYMI WSTRZĄSAMI EUROPA NIE MA JUŻ SIŁY NA POWAŻNE ANALIZY. MOŻE DLA-TEGO TAK FETUJE RUBENA ÖSTLUNDA – artystę w połowie drogi między Stańczykiem a złośliwym trollem?



Tekst: **Krzysztof Kwiatkowski**

Robię filmy, aby obudzić dyskusję o społeczeństwie. Ale bez kija w wiadomej części ciała – mówi Ruben Östlund, który w ostatnich latach wskoczył na podium, znalazł się wśród najmodniejszych i najbardziej utytułowanych reżyserów europejskich.

Szwecja, która dała kinu posępną powagę Ingmara Bergmana, dzisiaj oferuje ironiczny chichot sowi-

zdrzała. Laureat dwóch Złotych Palm (za „The Square” i – właśnie – „W trójkącie”) miewa dość pospolite poczucie humoru. Potrafi jednak sprawić, że potknięcie się na skórcie od banana staje się komentarzem społecznym. Albo jak w jego nowym filmie – problemy gastryczne przynoszą metaforę późnego kapitalizmu.

Brudne pieniądze

– Lewicowość wyniosłem z domu. Mama zafascynowała się socjalizmem w latach 60. W jego duchu mnie wychowywała. Do dzisiaj w rozmowach wraca do teorii neomarksistowskich socjologów – wspomina reżyser. Ma w sobie coś bardzo szwedzkiego – nie tylko blond włosy i niebieskie oczy. Szczupły, w porządnie skrojonych garniturach, głośno się śmieje. Ale za ogładą kryje olbrzymie pokłady przekory – jakby tylko rozglądał się, gdzie można wsadzić kij w mrowisko.

Jego „W trójkącie” to raczej podstawowa lekcja stratyfikacji. Na luksusowym jachcie odpoczywają finansowe elity współczesnego świata. Rosyjski oligarcha, dojrzałe amerykańskie małżeństwo, które dorobiło się



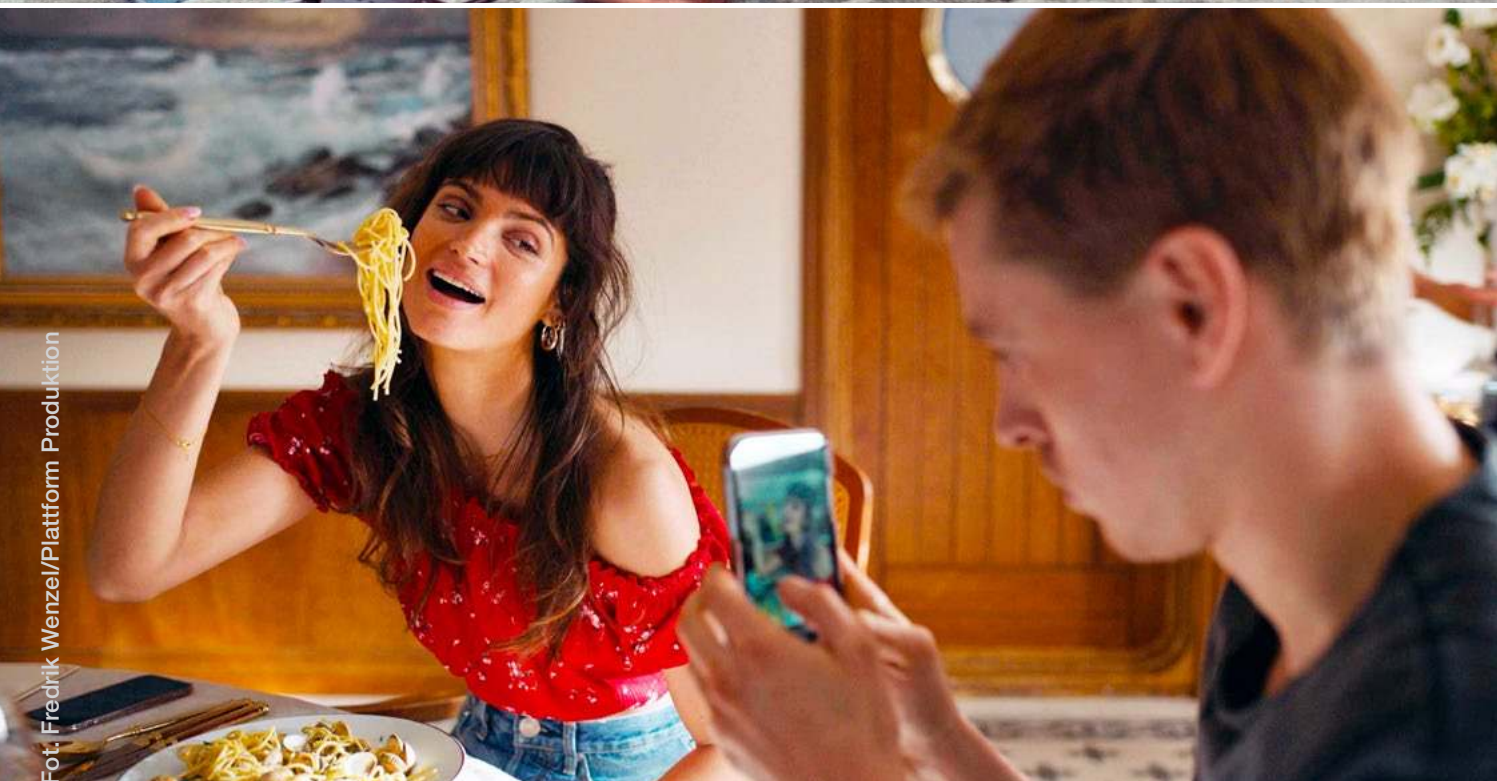
Fot. Fredrik Wenzel/Plattform Produktion

na handlu bronią, ale również nowe pieniądze, czyli influencerzy przemierzający pokład uzbrojeni w telefony, sieci społecznościowe i filtry.

Pasażerami jednak wstrząsa sztorm. Dosłownie: Östlund proponuje widzom bity kwadrans wymiotowania i defekacji. Kolejny akt filmu zaś przynosi karnewałowe odwrócenie ról. Na (pozornie) bezludnej wyspie ruble na kontach okazują się niewiele warte, umiejętności sprzątaczkki zaś pozwalają przetrwać.

– *Chcę pokazywać, jak łatwo wchodzimy w odmienne role i **ZAPOMINAMY, KIM BYLIŚMY** chwilę wcześniej – mówi.*
– *I jak szybko niedawna sprzątaczkka zmienia się, czując swoją władzę.*

Reżyser kocha wytrącać bohaterów, a z nimi widzów, z poczucia bezpieczeństwa. Interesuje go wszystko, co nie ma racji bytu w ułożonym, skandynawskim społeczeństwie. Tytułowa dziecięca „Gra” obnaża ukryte za zasadami *savoir vivre*’u złoża szwedzkiego rasizmu i



Fot. Fredrik Wenzel/Plattform Produktion

nietolerancji. W „Mimowolnie” autor odtwarza klasyczne psychologiczne eksperymenty, w których badani porzucają samodzielne myślenie na rzecz ślepego konformizmu. A razem ze wzrostem jego pozycji w świecie kina, Östlund coraz bardziej szarżuje. I tak w „The Square” między miłośników sztuki we frakach wypuszcza artystę udającego goryla.

– Dawno wiedziałem, że nie interesuje mnie robienie filmów artystycznych dla trzech osób na krzyż – mówi autor, który dwukrotnie triumfował na najbardziej snobistycznym festiwalu na świecie. I dodaje: – Kręci mnie, że scenę z 300 osobami w smokingach, których drażni małpolud, obejrzy tysiąc osób w smokingach.

Wstrząsnąć i zamieszać

Chyba właśnie bezczelnością i swadą zapewnił sobie miejsce w panteonie współczesnych reżyserów. Niegdyś Cannes hołubiło Quentina Tarantino, który uosabiał wszystko, czym nie jest ta francuska impreza. Dziś organizatorzy zapraszają do konkursu kino gatunków, horrory, komedie. Jakby sugerowali, że to już nie

jest czas na wysublimowane analizy. Teraz kino musi bić na alarm.

Östlund jest tym dobry. Ma szlachetną cechę: śmieje się z siebie. Ironicznie portretuje świat sztuki, zamożną skandynawską inteligencję, „postępowców” w teslach z pełnymi ustami frazesów o równouprawnieniu. Właśnie oni okazują się ograniczeni, płytki, czasem wręcz w swojej bucie żałośni.

– Interesuje mnie, jak wyznawane przez nas idee przekładają się na codzienne życie – komentuje twórca.

– *W Szwecji dużo mówi się o solidarności. Ale w gruncie rzeczy **KOCHAMY SPOŁECZNE NIERÓWNOŚCI** i swoje uprzywilejowane pozycje w hierarchii.*

Dlatego, chociaż widząc żebraka na ulicy źle się czujemy, raczej nie rzucimy mu kilku euro.

I tak w głośnym „Turyście” facet siedzi z rodziną na tarasie w narciarskim kurorcie. Nagle z gór schodzi lawina. Mężczyzna rzuca się na ratunek nie dzieci i żony,



Fot. Fredrik Wenzel/Plattform Produktion

lecz iPhone’a. Ostatecznie niby nic się nie stało. Ale nie-smak pozostaje. W „The Square” niemal wszystkie wartości wyznawane przez dyrektora galerii sztuki współczesnej w konfrontacji z rzeczywistością rozpadają się jak szkiełka w kalejdoskopie.

Łza ojca

Jednak Östlund daje swoim bohaterom prawo do przeżycia katharsis. Chyba dlatego „W trójkącie”, „The Square” czy „Turystę” da się w ogóle oglądać. To ostre i bezkompromisowe satyry, ale pozbawione pogardy. Bohaterowie nie potrafią tu doskoczyć do wysoko zawieszonej poprzeczki. Jednak z powodu własnej niemocy i bezradności, cierpią. To kino czasów kryzysów: męskości, autorytetów, etycznych.

Mężczyźni zdają tu sobie sprawę, ile bólu wyrządził patriarchalny ojciec z dzieł Bergmana. Chcą być inni. Ale przecież błędzą w tych poszukiwaniach po omacku.

– Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłem łzy swojego ojca – opowiada reżyser. – Spacerowaliśmy po le-



sie. Nagle oparł się o drzewo i schował twarz w dłoniach. Byli w trakcie rozwodu z matką.

Bo dla Rubena Östlunda kamera jest nie tylko młotem na hipokryzję. Artysta zdaje sobie sprawę, że przyznanie się do smutku, niespełnienia, nieszczęścia, boli. Podobnie uczciwe rozliczenie się z samym sobą. Na ekranie eksperymentuje. „Turysta” krył więcej dramatu niż kpiny. Suwak „W trójkącie” bliższy jest drwinie. Ale przecież i tu hardy kapitan nie pije bez powodu.

W gruncie rzeczy wszyscy ci pokiereszowani przez życie biali faceci z zamożnej Skandynawii mają jeden wspólny cel: spojrzeć kiedyś w lustro bez grymasu niechęci. A może nawet z nutą sympatii? 

WOJNA NA KWADRACIE



Fot. NAC

Warszawa, 1935 r. - mecz Polska-Argentyna. Od prawej siedzą: Ksawery Tartakower, Paulin Frydman, Mieczysław Najdorf.

*Szachy to gra, która – choć wizualnie mało efektowna – wciąga graczy jak żadna inna. I ma historię długą, jak mało która. **KASPER BAJON, PISARZ I FILMOWIEC, NAPISAŁ O NIEJ KSIĄŻKĘ.** Nie o jej zasadach, ale o ludziach, którzy ulegli fascynacji szachami, o ich złożonych i niekiedy tragicznych losach. I o swoich związkach z szachami.*



Tekst: **Leszek Bugajski**

Gra w szachy to gra w wojnę, ale poddaną ścisłym regułom, które na współczesnych polach walki nie istnieją, a jeśli nawet są określone przez międzynarodowe konwencje to i tak nie są przestrzegane. Szachy to wojna zamknięta na ściśle określonym kwadratowym polu złożonym z 64 kratek. To wojna „idealna”, jeśli oczywiście jakąkolwiek wojnę można tak określić. I wojna kompletnie bezużyteczna,

bo nie przynosi wymiernych korzyści, jakie – niestety – może przynieść wojna prawdziwa. No, chyba że ktoś jest tak wybitnym zawodnikiem, że gra zawodowo i uczestniczy w turniejach z okazałymi nagrodami.

Szachy to pasja, gra z wielką tajemnicą i niezwykle wieloma możliwościami. To nie jest zwykłe mechaniczne przesuwanie bierok po szachownicy, ale strategia, taktyka i myślenie o praktycznie nieskończonej ilości możliwych ruchów oraz wynikających z nich konsekwencjach. Bo w szachach, jak w prawdziwym życiu, nigdy się nie wie, co tak naprawdę wyniknie z podjętej decyzji.

Powrót do szachów

Podobnych i niepodobnych opisów szachów można przytoczyć mnóstwo, bo to gra stara nieomal tak, jak nasza cywilizacja i napisano o niej wiele. Kasper Bajon wszedł na ten obszar i napisał swoją książkę, dając jej co nieco mylący podtytuł „Opowieść o polskich szachach”. Mylący, bo to książka nie tylko o tytułowej grze, ale też o nim samym i powiązaniach jego rodziny (do

trzech pokoleń wstecz) z szachami. To świetna i bardzo interesująca książka-esej o wszystkim, co wiąże się z szachami i też o tym, jak kierują one losami ludzi wiążącymi z nimi.

Bajon to poeta, pisarz, scenarzysta filmowy i reżyser, który zaznaczył już wyraziście swoją obecność we wszystkich tych dyscyplinach.

„Teraz wystąpił jako **AMATOR SZACHÓW**. Nie po raz pierwszy – swojemu zainteresowaniu nimi dał już wyraz przed dekadą, gdy wydał powieść „Kluge”

o tajemniczym szachiście sprzed wielu dziesięcioleci, a właściwie o poszukiwaniu jego śladów i próbach poznania jego losów, jakie podejmuje narrator.

Teraz odrzucił powieściowy dystans, nie zaślania się narratorem – pisze wprost o sobie, o swoich kontaktach z szachami, o tym, jak uświadomił sobie, że to nie jest dyscyplina, którą mógłby uprawiać w bardziej wyrafinowany sposób niż tylko amatorski. Nie przebiera-



Fot. Klara Kochańska-Bajon

Kasper Bajon – twórca wszechstronny, teraz wystąpił jako utalentowany eseista.

jąc w słowach wali otwartym tekstem: „Jestem (...) szachową miernotą (...). Dlatego pewnie o szachach tylko piszę”. To pewnie stwierdzenie lekko kokieteryjne, bo z tego co napisał wynika, że jednak jakieś szachowe kompetencje posiada.

Prawdą jest zapewne to, co dodał po kilku stronicach: że nie posiada specjalnego talentu, wystarczającego do treningu samozaparcia i konsekwencji. Łatwo do zrozumieć – trening jest trudny i żmudny. A efekty mało spektakularne, jeśli nie jest się arcymistrzem toczącym epicki bój np. o mistrzostwo świata. Sama szachowa rozgrywka jest dla obserwatora mało efektowna, bo przecież tak naprawdę rozgrywa się w głowach dwóch osób ślęczących nad szachownicą. Że w ich głowach toczy się „mordercza” bitwa, to istotna sprawa, ale kto dzisiaj – w świecie przesyconym do granic wytrzymałości rozrywkowymi atrakcjami – ma czas, chęć i samozaparcie, by śledzić zapisy szachowych partii i odkrywać w nich śmiałość i piękno posunięć graczy... To było możliwe sto lat temu, gdy czas płynął inaczej i ludzie mieli go chyba więcej.

Szachy i ludzkie losy

I właśnie o te około sto lat cofa się w swojej książce Kasper Bajon – do dwudziestolecia międzywojennego, w którym polskie szachy przeżywały okres wzlotu. Bo, jak pisze, dzisiaj gra w szachy już go nie pociąga, ale ich „archeologia” i artefakty, jakie się zachowały. „Wyobrażam sobie, że w notacji szachowej na podobieństwo symbolu ukryte jest to, co poza szachami: atmosfera, chwila, los człowieka” – tak w gruncie rzeczy określa założenie na jakim cała jego książka jest oparta.

Ze swobodą i erudycją wędruje przez stare i nowe czasopisma, książki, zagłębia się w swoją pamięć, gdy grał w szachy z dziadkiem i ojcem, śledzi w historii rodziny nawiązania do historii polskich szachów. Robi to sprawnie i atrakcyjnie opisuje. „Przelatuje” oczywiście także przez literackie wątki szachowe (przede wszystkim Nabokow oraz Irzykowski), a nawet filozoficzne (Wittgenstein). Interesuje go, to jak historia szachów wiąże się z rozwojem transportu i rozkwitem kapitalizmu, jak poprzez szachy odczuwa się czas i jak się on

„zawiesza” w tej grze, jak szachy tracą swój czar pod wpływem komputerów itd., itd.

Jednak przede wszystkim

„*interesują go **POSTACI WIELKICH POLSKICH SZACHISTÓW** z okresu dwudziestolecia międzywojennego – opisuje ich sylwetki i życiowe perypetie*

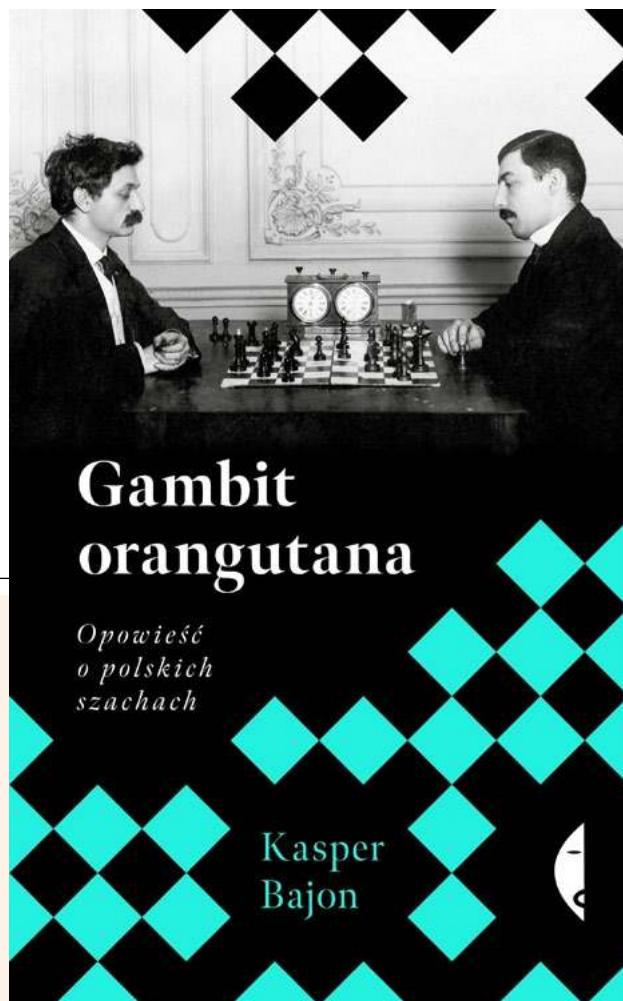
zwracając przy okazji uwagę na ich – mimo wszystko – demokratyczny charakter i na to, jak umierała ich mizoginia, jak powoli kobiety wchodziły do ich świata i odnosiły sukcesy. I wzrusza się losem tych szachistów, którzy zginęli w czasie Zagłady, bo byli pochodzenia żydowskiego i pozostały po nich „partie nierozegrane” albo niedokończone, jak te z turnieju zorganizowanego w warszawskim getcie – gdy szachista nie przychodził grać, było wiadomo, że nie żyje, albo jedzie do Trebłinki. A partner czekał przepisowy czas.

Szachy to dla Kaspra Bajona nie tylko gra, to po prostu życie – to opisywane tu przez niego toczy się wokół

szachów, ale przecież nie jest wolne od dramatów, bólu i radości, jakie są w każdym innym. Tyle tylko, że partię szachów można powtórzyć, a życia już nie. 

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Kasper Bajon
*„Gambit
orangutana”*
Wydawnictwo Czarne



**Łukasz Orbitowski**

Czytam wiersze z osadzonymi

Podzieliłem się informacją o tym, że prowadzę zajęcia w więzieniu. Rzeczywiście, raz w miesiącu odwiedzam zakład karny. Czytamy wiersze. Rozmawiam o nich z osadzonymi.

Krakowskie Biuro Festiwalowe, które pilotuje ten projekt poprosiło, abym opowiedział publicznie o tej

przygodzie, wrzucając do tego zdjęcie. Takie mamy czasy. Informacja bez obrazka traci na klikalności.

Reperkusje prostego posta okazały się dość szerokie i nie mam na myśli zainteresowania mediów, po których się wożę (czego pokłosiem jest i ten felieton). Ludzie reagowali bardzo różnie.

Większość pospieszyła z wyrazami poparcia. Kilku wyraziło wątpliwości, być może uzasadnione. Dobry kumpel, policjant, spojrział na sprawę ze swojej perspektywy, uświadamiając mi, że osadzeni, uczestnicząc w takich zajęciach jak moje, nabijają sobie punkty do przedterminowego zwolnienia. Potem podzielił się doświadczeniami z zatrzymań i kartotek, dodał, że jego zdaniem resocjalizacja rzadko kiedy działa. Z jego perspektywą trudno mi polemizować.

On zatrzymuje przestępców. Ja czytam z nimi poezję.

Inny człowiek, podobno nawet pisarz, zauważył z oburzeniem, jakobym zaprzyjaźniał się z bandytami. To nieprawda, choć pamiętam czasy, kiedy bandyci rzeczywiście znajdowali się w gronie moich

Felieton

przyjaciół. Z więźniami nie buduję relacji, zależność między nami przebiega skośnie. Jestem ich przełożonym. Wychodzę z zakładu. Oni tam zostają. Tyle. Ten sam człowiek dodał jeszcze, że cieszy mnie niszczenie pamiątek po siostrze Faustynie i Janie Pawle II. Co to tego muszę się zgodzić.

*Nie każdy zasługuje na drugą szansę, ale **Z KAŻDYM MOGĘ POROZMAWIAĆ O WIERSZACH.** Nie interesuję się, za co ci ludzie siedzą*

(no dobrze, ciekawi mnie to, lecz nigdy nie pytam).

Kasia Kubisiowska, która prowadzi grupę żeńską opowiada dużo o emocjach, o więźniarkach otwierających się przed nią. Moi faceci trzymają gardę. Żaden nie rozpruje się przed kolegami. Dużo słucham o głupich sędziach, złośliwych prokuratorach, dzieciach i dziewczynach czekających na wolności.

Ujawniają się dwie emocje wspólne niemal dla wszystkich. Pierwszą jest tęsknota. Osadzonym

brakuje wolności. To dość oczywiste. Od tego mamy zakłady karne, aby jej brakowało. Przewija się lęk przed niewiernością partnerki i pytania o dzieci, czy nie dzieje się im krzywda. Dłużnicy alimentacyjni cieszą się wyjątkową pogardą. Porządny kryminalista, w swoim własnym mniemaniu, przynajmniej dba o dzieci.

Zauważyłem też wstyd, zwłaszcza wśród tych, którzy wylądowali w więzieniu po raz pierwszy. Obawiają się tego, jak zostaną przyjęci na wolności.

Nie mówią swoim dzieciom, gdzie są, kłamiąc o jakichś delegacjach. Zastanawiają się jak będzie ze znalezieniem pracy i co powie rodzina. Obawiają się stygmatu przestępcy, jak sądzę, nie bez powodu. Jednocześnie pielęgnują swój status ofiar, ale i wykazują się poczuciem humoru.

Jeden rzekł: „panie Łukaszu, tu nie ma żadnego przestępcy. Same pomyłki sądowe!”. 

Iskra w oku



KOLEJNE WYDANIE CYFROWEGO „WPROST” UKAŻE SIĘ W **NIEDZIELĘ O GODZ. 20.**
SZUKAJ NA **WPROST.PL** ORAZ WE WSZYSTKICH **E-KIOSKACH** ORAZ APLIKACJACH
MOBILNYCH **APP STORE** I **GOOGLE PLAY**

wprost

REDAKTOR PROWADZĄCY: *Szymon Krawiec*

SEKRETARZE REDAKCJI: *Katarzyna Dobrowolska-Batyra,*
Leszek Bugajski

REDAKTOR: *Paulina Socha-Jakubowska*

ZESPÓŁ: *Karolina Baca-Pogorzelska, Piotr Barejka,*
Dariusz Grzędziński, Jakub Mielnik,
Joanna Miziołek, Eliza Olczyk,

Katarzyna Pinkosz, Agnieszka Szczepańska,

STUDIO „WPROST”: *Karol Kinal (kierownik),*
Anna Abratańska, Jakub Wiewiorowski

WYDAWCA: *Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Wprost” Sp. z o.o.*

DYREKTOR DS. ROZWOJU CYFROWEGO: *Małgorzata Golińska*

BIURO REKLAMY: *reklama@wprost.pl, tel.: 22 347 50 00*

ADRES REDAKCJI: *Batory Office Building II,*

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa,

tel.: 22 347 50 00 (recepcja), www.wprost.pl

Wydawca tytułu, spółka AWR „Wprost”,
należy do Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA

ISSN 02091747

NA PODSTAWIE ART. 25 UST. 1 PKT 1B PRAWA AUTORSKIEGO WYDAWCA WYRAŹNIE
ZASTRZEGA, IŻ DALSZE ROZPOWSZECZNIANIE MATERIAŁÓW OPUBLIKOWANYCH
W TYGODNIKU „WPROST” JEST ZABRONIONE.

© WSZYSTKIE MATERIAŁY W TYGODNIKU CHRONIONE SĄ PRAWEM AUTORSKIM. WSZELKIE
PRAWA ZASTRZEŻONE. DALSZE ROZPOWSZECZNIANIE TREŚCI ARTYKUŁU TYLKO
ZA ZGODĄ WYDAWCY. REGULAMIN I WARUNKI LICENCJONOWANIA MATERIAŁÓW
PRASOWYCH NA WWW.WPROST.PL/REGULAMIN/